Cena 40 gr. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ODNOWA

TYGODNIK

18 kwietnia 1937 r. Niedziela Rok II. Nr. 23

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Traugutta Nr. 3, m. 6. Telefon: 6.97-99.

NASZA ANKIETA

Były Rektor i Profesor uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie — P. Marjan Zdziechowski równie uczony badacz, jak odważny obywatel, w odpowiedzi na ankietę dzieli się swemi uwagami o charakterze niewątpliwie krańcowym. Nie analizując obecnie materjału ankietowego, podajemy go w przekonaniu, że tylko uczciwa swoboda w wypowiedzeniu poglądów przez wybitnych Polaków może doprowadzić do poszukiwanej syntezy pragnień ogólnonarodowych.

REDAKCJA.

MARJAN ZDZIECHOWSKI

Uwagi i wnioski

Poruszyłem i poruszam nieraz zagadnienia polityczne, ale politykiem nie jestem, w polityce czynnej udziału nie brałem i na pytanie Redakcji o reformach, które należałoby wprowadzić dla wyzwolenia maksymalnej energji państwa odpowiedzieć nie potrafię.

Wychowywałem się w zasadach liberalizmu i parlamentaryzmu, zżyłem się z niemi, dziś zaś parlamentaryzm jest przedmiotem pogardy, liberalizm — nietylko pogardy, ale i nienawiści. Z ludźmi tej najnowszej formacji porozumieć się nie umiem. Liberalizmowi zawdzięczam ten wielki skarb, jakim jest wolność myśli i słowa, zastrzegam się, że nie „wolnomyślicielstwo", które się stało u nas synonimem bezbożnictwa, co zaś do parlamentaryzmu, to choć uległ on zwyrodnieniu w postaci parlamentoczy sejmokracji, jednak innej lepszej formy rządu dotychczas nie wymyślono. Parlamentaryzm zastąpiły dyktatury. Władza dyktatorska w ręku człowieka z rozumem, energją i dobrą wolą może być dobrodziejstwem wielkiem w wyjątkowych chwilach przełomów, ale z natury rzeczy jest zjawiskiem przelotnem, a w następstwach swoich zgubnem, bo po śmierci dyktatora następują rządy wzajemnie pożerających się klik, wobec których społeczeństwo, w którem dyktatura przerobiła ludzi wolnych na niewolników, jest bezsilne. Wyjątek stanowi dyktatura Salazara w Portugalji, dzięki temu, że ten wielki mąż umiał zatrzymać i uznać granice, które prawo moralne stawia państwu.

Prof. St. Estreicher wyraził się (Odnowa Nr. 7), że „z niebezpiecznego położenia, w jakiem jesteśmy, mógłby wyprowadzić wielki zbiorowy wysiłek, kierowany przez Rząd rozumny, związany z całością narodu", posiadający jego zaufanie. Nie dokona tego dzieła rząd „otoczony podejrzliwością, niechęcią i apatją". Te trzy ostatnie wyrazy zastąpiłbym jednym: *nienawiść;* może tu, na kresach występuje ona silniej, niż gdzieindziej, w każdym razie zmusza patrzeć w przyszłość z uczuciem wielkiego niepokoju. Gdy w Wilnie ktoś, wsiadając do dorożki, każe siebie wieść do czrezwyczajki, żaden dorożkarz nie zapyta go, gdzie ona jest, każdy wie, że to Urząd Skarbowy... Mówiono dawniej, że Polska nierządem stoi. Nierządem, który jest wynikiem przewagi instynktów anarchicznych nad rozsądkiem, prywaty nad dobrem powszechnem, stać czas jakiś można, bo „nierząd" spacza, lecz nie wyklucza on uczucia patrjotycznego, ale stać nienawiścią państwo nie może.

Już w wieku dziecięcym — miałem lat 7 czy 8 — marzyłem o Polsce niepodległej. Bawiliśmy się z kuzynem moim Witoldem Jodko w generałów, czy hetmanów, wypędzających moskali z Polski. W uczuciu tem Jodko wytrwał. Był później czynnym członkiem partji P. P. S., współpracownikiem Piłsudskiego, przygotowującym zbrojne powstanie. We mnie marzycielstwo brało górę nad czynem, wskutek tego w zetknięciu się z rzeczywistością, nastawienia rewolucyjnego nie miałem, byłem „rozważny", na innych drogach wskrzeszenia ojczyzny szukałem. Niemniej jednak idea walki orężnej fascynowała wyobraźnię, skrzydliła marzenie — i od chwili wybuchu wojny światowej sercem całem, choć zdaleka, przylgnąłem do akcji legjonowej. Uczuciu memu dawałem wyraz energiczny w przemówieniach na zebraniach polsko - rosyjskich w Moskwie, w 1914 — 15 r., po wybuchu zaś rewolucji w artykułach, które w *Dzienniku Petrogradzkim,* później w *Dzienniku Mińskim* ogłaszałem.

I przyszła niepodległość, ale wślad za nią szło gnębiące rozczarowanie. „Nie za taką walczyliśmy Polskę" — mówił do mnie czcigodny weteran 63 i 64 roku, Marjan Dubiecki, który do końca powstania walczył przy boku Traugutta.

Pokolenie do którego Dubiecki należał i o 20 lat młodsze pokolenie moje, jeśli nie w całości, to w znacznej części wyobrażało sobie przyszłą Polskę niepodległą nie jako rewolucyjną negację dawnej, niepodległej przedrozbiorowej

Polski, lecz w ścisłym z nią związku, jako jej udoskonalenie, łączące potrzeby i dążenia czasów nowych z tem, co było piękne w tradycji.

Człowiek jest istotą potrzebującą konkretnych, żywych symbolów idei i ideałów, które wyznaje. Symbolem majestatu narodu i państwa jest Król; majestatu tego nie chciały nas pozbawić nawet państwa centralne w akcie z dnia 5 listopada 1916 r. I nie spotkałem wówczas nikogo, ktoby się oburzał lub dziwił, że Polska mieć będzie monarchę. Krążyły pogłoski, iż monarchą tym będzie arcyksiążę Karol Stefan z Żywca, a imię to działało sugestjonująco, entuzjazmem przejmowała myśl, że na tronie królów naszych zasiądzie Stefan II. Aż oto nagle, *un beau matin*, obudziliśmy się wszyscy zajadłymi republikanami — nietylko lewi, ale i prawi, ultra prawi. Jakże metarmofoza taka stać się mogła? Tłumaczę to masową histerją, która ogarnęła naród, przedewszystkiem Warszawę, po odejściu Niemców. Niemcy postanowili, że będziemy mieli króla, otóż im na złość króla nie chcemy i nie będzie go. Pozatem Polska, którą tak złośliwie określił Słowacki, wmówiła sobie, że powinna stanąć przed zdumionym światem, jako ostatnie słowo demokratycznego postępu, demokratycznej mody.

Czem jest demokracja, o tem pisaliśmy nieraz; teraz przytoczę słowa ukraińca, Wacława Lipińskiego, który, jako przedstawiciel narodu najdemokratyczniejszego, wiedział i wyraźnie widział, co demokracja niesie ze sobą i ratować chciał naród swój „od demokratyczno republikańskiej trucizny, która rozlała się po całej Polsce i zalała tam całą inteligencję; są tam prawi i lewi, ziemianie i antyziemianie, socjaliści i antysocjaliści, ale różnią się między sobą w odcieniach zaledwie dostrzegalnych". „Wraz zaś z wtargnięciem demokracji przychodzi koniec organicznego, rytmicznego rozwoju, następuje rozproszkowanie się na grupy i grupki, partje i partyjki, chaos partyjnictwa, wzajemne licytowanie się, walki, które nie uszlachetniają, lecz upadlają; bo posługując się metodami oszustwa i kłamstwa, demoralizują bierne masy". W wynikach swoich demokracja „jest władzą złota nad sprzedajną ideologją, nad sprzedajnym mieczem, nad biernością rozproszkowanych i zdemoralizowanych mas" [1]).

Niestety, marzenie naszych demokratów wszystkich odcieni narodowych, postępowych, socjalnych — spełzło na niczem. Nie było podobieństwa iść w zawody z bolszewizmem; więc przynajmniej upodobnić Polskę do Sowietów, dorównać im, gdzie się to da. I słusznie powiedziano, że Polska, która bohatersko umiała walczyć z caratem, nie znalazła po zwaleniu caratu nic pilniejszego — i to nieraz w osobach tych, co z bronią w ręku o niepodległość walczyli — jak wrócić do Rosji i w morzu sowieckiem się rostopić, na pierwszy początek tylko ideowo, a potem?... Zaiste, „pokolenia następne zdumione i zawstydzone będą, czytając dzieje Polski w latach ostatnich" [2]).

Gdyby mnie zapytano, co było ich ideą przewodnią w chwili wyzwolenia aż do dnia dzisiejszego, powiedziałbym: zerwanie z całą tradycją przeszłości, że zaś tradycji tej uosobieniem najwyraźniejszem jest szlachta, więc zniszczyć szlachtę. I poczęły się sypać i wciąż się sypią coraz bardziej drakońskie dekrety, zmierzające ku zrujnowaniu i wywłaszczeniu ziemiaństwa.

Dwa są okresy w historji Polski po odzyskaniu niepodległości: przed zamachem majowym i po nim. Okres pierwszy to sejmowladztwo, demagogja, której wysłańcy — było ich trzech, a wszyscy trzej byli posłami na Sejm — pędzą do Moskwy z czołobitnością i składają hołdy najnikczemniejszemu z nikczemnych wszechsowieckiemu katowi, Dzierżyńskiemu. Przeciw czynowi temu „hańbiącemu Sejm i Senat, Polskę całą", podniosłem protest w jednej z mów moich, jako rektor Uniwersytetu St. Batorego, bo „Uniwersytety — powiedziałem — są dziś bodaj ostatniemi ogniskami myśli wolnej, to znaczy wolnej od tchórzostwa, nie płaszczącej się przed Jej Imp. Mością Demagogją". Mowę tę jeden ze znajomych moich przeczytał Marsz. Piłsudskiemu. Marszałek lubił w chwilach dobrego humoru używać wyrażeń rosyjskich: *„Maładiec* — powiedział — *bojewoj gienierał"*.

Marszałek był obecny na otwarciu roku akademickiego 1925/26 — i w jego obecności zwróciłem się do młodzieży z błaganiem „miejcie litość nad ojczyzną". — Mówiąc to miałem na myśli groźną, wkraczającą od Wschodu wszystkiemi drogami bezbożną propagandę haseł mechanizacji i bestjalizacji człowieka. W zakończeniu mowy były następujące słowa: „powinniście postępować tak, aby wyraz *Polska* nie odpychał, lecz atrakcją był dla wszystkich narodowości w skład państwa polskiego wchodzących". Groch o ścianę. Minęło lat 10 i mowa ta wydaje mi się echem z jakiegoś zaginionego świata; jakże szybko staczamy się w przepaść zdziczenia!

Pomimo najlepszej chęci woli nie byłem w stanie zrozumieć tych, co się prawicą mienili, za takich uchodzili. Nie rozumiałem ich filo-sowieckich sympatyj w polityce zewnętrznej, w wewnętrznej zaś, umizgając się do partyj skrajnych, zręcznie prowadzili na pasku nie orjentujące się w ich zamiarach ziemiaństwo. Czy nie było to nihilizmem, powiedzmy, „nihilizmem narodowym", który brak idei zasłaniał podjudzaniem nacjonalistycznych namiętności przeciw wszelkim mniejszościom.

Do „nihilizmu narodowego" czułem antypatję, której nie ukrywałem. Odpłacano mi pięknem za nadobne. Nie zamach majowy, lecz jego wynik, czyli koniec rządów według klucza partyjnego powitałem z uczuciem ulgi. Wkrótce potem Marszałek ku wielkiemu memu zdumieniu wymienił mię wśród kandydatów do najwyższej godności państwowej. Należało przeto zohydzić osobę moją w oczach „narodu", opinji kół t. z. narodowych. Nie było dowodów, że okradłem kasę jakąś, albo że należałem do jakiejś organizacji bandyckiej. Natomiast miałem na sumieniu grzech niemniej ciężki i obrzydliwy, do którego cynicznie się przyznawałem: byłem monarchistą i, co gorzej, z sympatjami dla dynastji, Habsburgów. I w dzień, czy w przededniu wyborów rozrzucano ulotki, piętnujące mię, jako monarchistę. Byłem zgubiony w opinji „narodu".

Od chwili zamachu stoję daleko od polityki, bardzo daleko. Tej swobody w wypowiadaniu myśli naszych i poglądów, jaka istniała przed zamachem, nie mamy, pozatem sam dobrowolnie w pierwszych czasach po zamachu zamknąłem sobie broszurą „W sprawie sumienia polskiego" [3]) drogę do „karjery". O sprawach, które się rozstrzygają na górze mogę mieć tylko domysły, albo wrażenia z tego, co słyszę.

Na barki Marszałka spadły po zamachu zadania, które przerastały jego siły. Rozumem, charakterem ogromnie przewyższał otoczenie swoje, a zapanować nad niem nie umiał. Nie wątpię, że temu typowemu szlachcicowi z Kresów bardziej było swojsko wśród Radziwiłłów w Nieświeżu, niż wśród tych, z którymi związała go rewolucyjna przeszłość.. Związanemu z nimi zabrakło ochoty i odwagi do przekształcenia Polski w monarchję, choć w zasadzie, jak wynikało to ze słów Wł. Studnickiego, przeciwny temu nie był.

Autorowi książki „Strzępy meldunków" zarzucono, że chcąc wywyższyć Piłsudskiego, zrobił jego karykaturę. Nie, karykaturą książka ta nie jest; przeciwnie: przeglądam ją i staje przedemną człowiek tragiczny, człowiek, który w chwili irytacji krzyknął, że urodził się we dworze i nazywano go paniczem, więc nie potrafi babrać się w brudach. I czy nie jest tragiczny w wymowie swojej ów wybuch na posiedzeniu Rady ministrów: *„Ja zrobię towarzystwo akcyjne do wyciągania złota z powietrza. Dostanę na to od panów zaraz 4 kilometry lasów państwowych, wezmę moich krewnych do komisji rewizyjnej towarzystwa i zażądam dla tego towarzystwa najmniej 4 miljony, nie mniej* (unosząc się). A jak mi się nie uda, to jeszcze zażądam. Tak się robi w naszem Państwie. Mam wstręt do takiego państwa! W skórę bić takich projektodawców". — Wybuchnął i na tem się skończyło. Czuł się bezsilny, bezradny; wstrząsająca tragedja człowieka, w ręku którego znalazł się ster państwa.

Po śmierci Marszałka uznano w kołach, co go otaczały, nieomylność jego w każdem słowie, jakie wyrzekł, w czynie każdym, jako dogmat narodowy. Najgorętsi wielbiciele wielkiego Napoleona nie mieli go jednak za nieomylnego, nie zaprzeczali, że popełniał błędy — i nieraz wielkie błędy. To też nasz

[1]) Por. M. Zdziechowski „Pierwiastek zachowawczy w idei ukraińskiej". Przegląd Współczesny, 1937, Nr. 3.

[2]) Por. Aleksander Bocheński w „Buncie Młodych", (1933, sierpień).

[3]) O gen. Zagórskim (przyp. Red.).

dogmat narodowy nie zasłonił, nie ochronił spadkobierców marszałka od krytyki. Niema w narodzie jedności, niema człowieka z takim autorytetem i takiem zaufaniem, jakie posiadał Piłsudski. A wszyscy czują, uznają konieczność konsolidacji.

Niestety, sympatyczne ogólniki płk. Koca nie obudzą entuzjazmu, nie zatrą uczuć niechęci i nieufności.

W Rosji carskiej próbowano tłumić powszechną do rządu niechęć, skierowując ją przeciw inorodcom. Środek ten zawiódł sromotnie. Czyżby pomimo to miał być wzorem dla nas? Licznych mam znajomych i przyjaciół w kołach rosyjskich i widzę, jak głębokie, a słuszne budzi tam oburzenie szalony pomysł polonizacji prawosławia. Próbujemy naśladować rządy carskie, które dążyły do rusyfikowania katolicyzmu. Nie ośmielono się jednak wystąpić przeciw łacinie jako językowi liturgji. Żądano zamiany nie łaciny, lecz tylko języka polskiego na rosyjski w nabożeństwie dodatkowem, czyli w śpiewach, kazaniach — i to w gubernjach, w których ludność rdzenna była nie polska, lecz białoruska.

Podobnież nie uratują Polski idące tym razem od dołu, nie od góry, awantury przeciw żydom w Uniwersytetach. W r. 1933 w przemówieniu, które wygłosiłem w Auli Uniwersytetu Wileńskiego na obchodzie 50 lecia pracy mej pisarskiej, potępiłem „brzydkie ekscesy antysemickie" perjodycznie wybuchające w Uniwersytecie: „Mówię nie o kwestji żydowskiej, która jest kwestją polityczną i brzemieniem ciężkiem leży na Polsce; mówię w imieniu tych zasad taktu towarzyskiego i przyzwoitości moralnej, które obowiązują każdego porządnego człowieka, mówię ze stanowiska owego najszlachetniejszego humanizmu, który wielcy mężowie niemieccy: Herder i Lessing, Göthe i Schiller, jako die reine Menschlichkeit wysławiali. Nie chcę o tem dalej mówić, aby nie rumienić się ze „wstydu": słowa nie wywołały protestu przed 3-ma laty, a gdybym je dziś powiedział? Prowodyrowie ruchu antysemickiego wśród młodzieży nie domyślają się, że są wyśmienitem narzędziem polityki sowieckiej, dążącej do zanarchizowania Polski, do pozbawienia jej siły obronnej w razie wojny, a wojna z Sowietami jest nieunikniona i bliska [4]).

Wracam do mego *caeterum censeo*, choć wiemy, że na tle chwili obecnej jest to marzenie, bez żadnej pod sobą podstawy. Nie od reform, czy metod dorywczych zacząć należy, ale od rzeczy zasadniczej: Polska musi mieć, mówiąc po chłopsku, „po prostemu", swego gospodarza, czyli człowieka wysoko wzniesionego majestatem imienia, urzędu i władzy ponad warstwy społeczne, ponad partje polityczne, ponad narody w skład państwa wchodzące. Tylko król może być budzącym zaufanie powszechne czynnikiem równowagi między klasami — i partjami, między państwem, a mniejszościami narodowemi. Pisarz, którego przywykłem spotykać na przeciwległym biegunie uczuć moich i sympatyj, Adolf Nowaczyński, wyraził w ankiecie „Głosu Monarchisty" (1936 r. grudzień) z właściwą sobie drastycznością to, o czem od lat 17-u piszę, mówię, krzyczę (choć na krzyk ten ludzie zatykają sobie uszy); krzyczę, bo patrzę, jak dżuma czerwona coraz głębiej wżera się w organizm narodu naszego. Czuję wyraźnie idącą od wschodu krokiem coraz szybszym katastrofę, która pochłonie cywilizację, ale nie określam daty. Nowaczyński poszedł dalej niż ja: przepowiedział, że w ciągu lat pięciu Polska bezboleśnie przeistoczy się w filję Związku Sowietów, o ile nie zapanuje w niej porządek na zasadzie monarchizmu zbudowany [5]). „Monarchizm jest tym punktem oparcia, którego pod żadnym względem i dla żadnych celów ruszać nie wolno, tą twierdzą, której aż do ostatniego tchu bronić należy" [6]).

[4]) Por. Włodzimierz Bączkowski „Sprawa ukraińska w świetle obrony państwa", (Biuletyn Polsko-Ukraiński, 1937, Nr. 5).

[5]) Słowa Nowaczyńskiego cytuję z pamięci, nie mając pod ręką jego artykułu.

[6]) Słowa W. Lipińskiego. Por. M. Zdziechowski „Pierwiastek zachowawczy w idei ukraińskiej", Przegląd Współczesny, 1937, Nr. 3.

Raptularz tygodniowy

PILNE ZARZĄDY. — ZNOWU LITERACI

Obecny premjer gen. Składkowski urzędowanie na swem obecnem stanowisku rozpoczął od energicznej akcji, zmuszającej wszystkich urzędników do punktualnego przychodzenia do biura. Uczniowie gimnazjalni, świeżo w pamięci mający czytanki historyczne, odrazu ustalili, że „premjer Składkowski zastał Polskę drewnianą a zostawi ją o 8-mej rano". Po jazdach, inspekcjach i innych niespodziankach szefa rządu ogół urzędników zastosował się do wymagań punktualności porannej i skrupulatnie zapisuje się w księgach obecności. Duch służbistości raz (i to dość niemile) obudzony nie spoczywa. Co przed rokiem wydawało się przesadą, dziwactwem, a w każdym razie małostkowością, dziś uchodzi za dogmat, o którym nie wolno dyskutować, ba, przeciwnie pragnie się go udoskonalić i uwiecznić. Ci, którzy umieją zgadywać wszelkie życzenia bez względu na ich treść, a zgadywane wcielać w życie bez namysłu, zauważyli, że po przyjściu do biura o 8-mej traci się drogi czas na przygotowywanie do pracy, rozbieranie, porządkowanie papierów i t. d. Zarządy najpilniejszych rzesze pracowników uchwaliły jednomyślnie (naturalnie, że jednomyślnie) jako godny zalecenia postulat: przybywanie do biur o 10 minut wcześniej: o godz. 7.50. Dziesięć minut będzie się miało na wstęp do pracy, poczem maszyna państwowa z uderzeniem godziny 8-mej... Widzimy, że dobrze zakorzeniona zasada krzewi się samorzutnie i zapewne nieraz jeszcze będzie pożądane wydawać owoce. Dzieło mistrza chwali.

*

W Poznaniu pojawił się rocznik Kasprowiczowski. Prawie równocześnie ukazał się duży a pierwszy z kolei tom, zatytułowany „Przybyszewski", zawierający kolosalną ilość listów, pisanych przez Przybyszewskiego do najrozmaitszych znajomych i rodziny. Nie badamy tutaj walorów literackich obu wydawnictw, boć celowość wydawania rocznika Kasprowiczowskiego jest oczywista. Ale na przykładzie Akademji literackiej widzimy, że literaci nasi przeżywają kryzys taktu i elegancji. Spostrzeżenie te mimowoli potwierdzają oba wydawnictwa. Kasprowicz i Przybyszewski umarli niedawno. Znaliśmy ich wszyscy, jeśli nie bezpośrednio, to z widzenia, ze słyszenia i prawdopodobnie z czytania. Czy trudno sobie wyobrazić postawę i humor Jana Kasprowicza, gdyby widział w osobnem wydawnictwie, publikowane dla całej Polski, swoje intymne listy, bazgroty pisane na kolanie, podpisane „małpiszon"? Czy autor „Księgi Ubogich" tolerowałby opowiadania o swoich studenckich kłopotach, które nikomu na nic nie są potrzebne, prócz zdumiewająco naiwnych edytorów, którzy jeszcze nie spostrzegli, że w wiedzy o literaturze dokonał się także pewien przeskok i że dziś już nie rejestrujemy wszystkich próśb o pożyczki, pisanych przez poetów z lekka podgazowanych, jako objawień genjuszu narodowego. Wydawca listów Przybyszewskiego pobił wszystkie rekordy bezkrytyczności. Oczywiście, dobrze jest wiedzieć, jakie były koleje życia Stanisława Przybyszewskiego i jakie poglądy literackie w życiu prywatnem, to znaczy, nie w książkach a rozmowach wygłaszał. Ale drukować olbrzymią, pod względem literackim absolutnie bezwartościową korespondencję, pełną tylko różnych dziwacznych smakołyków, jak taki dzień, w którym pan Stanisław Przybyszewski pisał pod rząd trzy listy miłosne, jeden do kochanki, a dwa do dwóch swoich żon (Dagny i Jadwigi), powtarzać ową generalną żebraninę o pożyczki i wszelkie inne świadczenia — prawdziwie nie opłaca się. Dlaczego nie wydano za pieniądze składkowe, bo stąd poszły fundusze na korespondencję, wyboru pism Przybyszewskiego i tych ustępów z listów, w których jest mowa o literaturze. Przybyszewski w tej korespondencji maleje do rozmiarów kabotyna, słabo odpowiedzialnego za swe postępki. Mamy jednak pewność, że i kabotyn nie liczy się z ewentualnością, że wszystkie jego listy, ugrupowane starannie niczem akta hipoteczne, zaledwie w dziesięć lat po śmierci segregowane, czytane, rozważane, a wkrótce potem jako ewenement literacki będą drukowane.

A tymczasem nie przedrukowano znacznie ciekawszej, aktualnej, rzeczowej korespondencji p. F. Goetla, byłego redaktora i byłego teoretyka obozu z wydawnictwem „Kurjera Porannego". Tam zdawałoby się chodziło nie tylko o totalizm polityczny, była mowa także o prawach życia gospodarczego, których wykładnikiem stali się mimowoli prenumeratorowie dziennika, ci odchodzący naturalnie, bo przychodzących nie było. I skonfrontowawszy praktykę z teorją, starą rzeczywistość z nową rzeczywistością, moglibyśmy nawet pokusić się o próbę syntezy za przykładem pana prezesa Towarzystwa Kredytowego Miejskiego w Warszawie I. Matuszewskiego, który wprawdzie dużo zapowiadał, ale gdy przyszło co do czego, ograniczył się do wzmocnienia w polityce gospodarczej stanu faktycznego. I teraz przewodniczy wszystkim nieruchomościom.

To się nazywa próba syntezy.

Tot.

IRENA PANNENKOWA.

Era chłopska

Nie trzeba uciekać się aż do doktryny materjalizmu dziejowego w stylu heglowsko - marksowskim, by stwierdzić prosty fakt historyczny, że w ciągu dziejów coraz to inne warstwy społeczne wydobywają się na powierzchnię i nadają pewien ton przewodni epoce.

A więc, społeczeństwu wczesnego średniowiecza taki ton nadaje duchowieństwo. W okresie wypraw krzyżowych rycerstwo, z rycerstwem zakonnem na czele. Krucjaty oraz ich ostateczne niepowodzenie, ich konsekwencje gospodarcze i inne, doprowadziły do załamania się rycerstwa i do pierwszego rozkwitu mieszczaństwa. Po zakrzepnięciu ustroju stanowego rolę przewodnią obejmuje szlachta osiadła. Rewolucja techniczno - przemysłowa w początku i socjalno - polityczna Rewolucja francuska w końcu XVIII wieku oddaje kierowniczą rolę, tak zwanej wielkiej burżuazji kapitalistycznej. Nadużycia kapitalizmu wywołują reakcję mas robotniczych. Emancypacyjne ruchy socjalistyczno - robotnicze nadają charakterystyczne cechy dziejom Europy w ostatniej ćwierci XIX-go i w pierwszej ćwierci XX-go stulecia, osiągając wielkie powodzenia: przewrót ustrojowy w Rosji, republika wejmarska w Niemczech, fermenty rewolucyjne we Włoszech i w Hiszpanji, w Anglji pierwszy w jej dziejach rząd socjalistyczny, gdy we Francji, Belgji, Holandji i w państwach skandynawskich oddawna już stronnictwa robotnicze osiągają wybitny wpływ na rządy.

Ale, dotarłszy w ten sposób niemal do szczytu potęgi, ruch socjalistyczno - robotniczy poczyna się cofać i słabnąć. We Włoszech i w Niemczech tryumfuje antymarksowski nacjonalizm, w Anglji rząd socjalistyczny najspokojniej ustępuje znowu miejsca konserwatystom, — obecny rząd Bluma we Francji najprawdopodobniej, podobnie jak rząd Macdonalda w Anglji, pozostanie epizodem bez głębszych konsekwencyj. Sensacją europejską stał się zwłaszcza fakt, że nawet najpotężniejsza na świecie socjal-demokracja niemiecka, tak stosunkowo łatwo uległa w gwałtownem starciu z hitleryzmem i tak szybko znikła z powierzchni życia politycznego w Niemczech.

Nie możemy tu wchodzić w liczne i różne przyczyny takiego obrotu rzeczy. Co stwierdzić jednak należy, to fakt, że natomiast coraz wybitniejszą rolę w nowoczesnym świecie odgrywać zaczyna emancypacyjny ruch *chłopski*.

Już wojna światowa — a tembardziej ewentualna przyszła wojna totalna, do której świat pełną parą przysposabia się dzisiaj i zmierza, — angażując wszystkie siły żywotne narodu, uwydatnia ogromne znaczenie tych najszerszych mas chłopskich, co wedle wspaniałej lapidarnej formuły Kościuszki, *„żywią i bronią“*. Przytem nowoczesny nacjonalizm w swojem dążeniu do pogłębienia się, samouświadomienia i odrodzenia nie może nie sięgać do tych odwiecznych źródeł siły regeneracyjnej narodu, jakie stanowi warstwa ludowa.

Sprawa chłopska stała się *modna*. W literaturze, w plastyce, w teatrze, tematy ludowe wybijają się na plan pierwszy, jak do niedawna wybijały się tematy raczej proletarjackie. Słusznie zauważono szczegół charakterystyczny, że Komitet nagrody Nobla najchętniej przyznaje ją za książki o życiu chłopskim, czy też o wiejskim życiu wogóle.

Wreszcie rzecz wagi zasadniczej. Dzięki postępom techniki nowoczesnej wieś przestała być odciętym od świata partykularzem, głuchym i niemym wobec historycznych wypadków („niech na całym świecie wojna, byle polska wieś spokojna“...). Ogromne ułatwienia informacyjne i komunikacyjne, zagęszczająca się sieć pocztowa, telegraficzna, kolejowa, samochód, samolot, telefon, gazeta i radjo, zwłaszcza radjo, zbliżają do siebie wzajemnie i do miast wielomiljonowe rzesze chłopskie oraz wciągają je w bystry nurt narodowego życia. Chłopi już nie tworzą, jak do niedawna, luźnej masy w rozproszeniu bezsilnych atomów socjalnych. Już się porozumiewają, skupiają, stają się zdolni do zbiorowych, energicznych, celowych wystąpień publicznych.

W konsekwencji mają już gdzieniegdzie poważne wpływy polityczne. Przedewszystkiem w państwach skandynawskich i zwłaszcza w nadbałtyckich. Prezydentem Łotwy jest włościanin, Ulmanis. Podobnież prezydentem republiki finlandzkiej obrany został chłop, Kallio, uprzednio premjer.

Chłopi mają też już prawo uważać się za współgospodarzy w Czechosłowacji. Na zjazd stronnictwa agrarnego, który w r. 1928 odbył się w Pradze, przybyło ćwierć miljona chłopów ze wszystkich stron kraju.

Nie mniej umieją walczyć o swe prawa tam, gdzie ich są, czy byli, pozbawieni. W maju r. 1928 odbyła się w Alba Julja, w Rumunji, słynna manifestacja, na którą przybyło 150 tysięcy chłopów, zorganizowanych w tamtejszem stronnictwie ludowem. Zjazd powziął rezolucję, zakończoną ślubowaniem: „Przysięgamy, że utworzymy wolne państwo rumuńskie, któreby było matką dla wszystkich swych synów, i wszystkich otoczyło opieką“. Manifestacja ta wpłynęła na zarządzenie nowych wyborów. Stronnictwo ludowe wyszło z nich wzmocnione. Dla poparcia swych żądań zwołało drugi zjazd już w samej stolicy, Bukareszcie. Zgromadził on ponad 150 tysięcy uczestników.

W Bułgarji udzielono amnestję emigrantom politycznym, przeważnie chłopskim, — i przystępuje się do swobodnych wyborów samorządowych.

Nawet w Holandji, nawet we Francji (po raz pierwszy w jej dziejach!) chłopi się organizują i podobnież na masowych zjazdach formułują swoje polityczne żądania. Władze otaczają te zjazdy opieką i poświęcają ich obradom baczną uwagę, nawet wtedy, a może zwłaszcza wtedy, gdy rezolucje zwracają się przeciw polityce rządowej. Rzecz jasna: jest to przecież jedyna bodaj legalna sposobność do bezpośredniego poinformowania się o istotnych pragnieniach i nastrojach kraju. Rządowi, który chce nawiązać kontakt ze społeczeństwem, nie może na takich informacjach nie zależeć. Tak więc, w listopadzie 1935 r. odbyło się pod Paryżem zgromadzenie jakichś 50 tysięcy chłopów. Przemawiał znany pisarz, chłopski syn, Dorgelès. Występowano przeciw polityce „frontu ludowego“. Głośnem echem po całej Francji rozległa się także, wygłoszona przed tygodniem do tamtejszych chłopów mowa francuskiego podsekretarza stanu dla rolnictwa, André Liautey'a, który stwierdził, że masy chłopskie, stanowiące przytłaczającą większość narodu francuskiego, zdecydowane są bezwzględnie bronić demokracji, swobody, praworządności i ładu publicznego.

Rzeczywiście, widzieliśmy niedawno, jak przywódca małorolnych węgierskich, Eckhardt, przyczynił się głównie do udaremnienia puczu nazistowskiego na Węgrzech. W Rosji sowieckiej, wedle relacji Łakomskiego, szerzy się przekonanie, że jak chłopi zdecydowali o powodzeniu przewrotu, gdy poszli na lep demagogicznego hasła: „grabi nagrablionnoje!“ tak teraz, gdy padli sami jego ofiarą, zdecydują o obaleniu bolszewizmu.

W rzeczy samej, chłop — gospodarz, oddany pracy indywidualnej na roli, mocno uczuciowo związany z ziemią i z rytmem *praw* natury, regulujących całe jego życie, fanatycznie przywiązany do swej własności, jest, jak to słusznie stwierdził Liautey, urodzonym *indywidualistą*, obrońcą *własności, wolności* i *legalności*.

Stąd jest przeciwnikiem wszelkiego totalizmu. We Włoszech i *zwłaszcza w Niemczech*, w zrozumieniu nowoczesnej roli ludu, otoczono wprawdzie rolnictwo i warstwę chłopską osobliwie troskliwą opieką. To łagodzi przeciwieństwa, ale ich nie usuwa.

W tych warunkach lud, łącząc tradycjonalizm z postępem, wolność z autorytetem, interes klasowy z interesem narodowym, może odegrać pierwszorzędną rolę tego czynnika twórczej stabilizacji, tego środka ciężkości, tego momentu stałej równowagi, którego brak tak boleśnie daje się odczuwać w niespokojnym, rozbitym świecie dzisiejszym, „wytrąconym z normy“.

Zwłaszcza w Polsce... Byleby tylko lud ten pozostał wierny Testamentowi Kościuszki, który głosi, że interes narodowej *całości* jest zawsze wyższy ponad interes każdej grupy, i że *prawo* jest przed siłą (Wolność, całość, niepodległość“). Wtedy nie przemogą tego ludu żadne moce przeciwne, które w swoim interesie radeby go zepchnąć wstecz w dawne, wyschłe już i martwe łożysko historji. Bo — jak to mówi poeta:

„Próżno w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę.
Trzeba z żywymi naprzód iść,
Po życie sięgać nowe.

W rocznicę Racławicką



A. Orłowski. Racławice. (Z Muzeum Ks. Ks. Czartoryskich w Krakowie).

Przysięga

JA, TADEUSZ KOŚCIUSZKO, PRZYSIĘGAM W OBLICZU BOGA, CAŁEMU NARODOWI POLSKIEMU, IŻ POWIERZONEJ MI WŁADZY, NA NICZYJ PRYWATNY UCISK NIE UŻYJĘ, LECZ JEDYNIE JEJ DLA OBRONY CAŁOŚCI GRANIC, ODZYSKANIA SAMOWŁADNOŚCI NARODU I UGRUNTOWANIA POWSZECHNEJ WOLNOŚCI UŻYWAĆ BĘDĘ. TAK MI PANIE DOPOMÓŻ I NIEWINNA MĘKA SYNA JEGO.

Odezwa do narodu

W głównej kwaterze: Kraków, 24 Marca 1794 r.

Tadeusz Kościuszko.
Najwyższy Naczelnik siły zbrojnej narodowej.

Do Obywatelów.

Wspoł-Obywatele!

Wzywany po tylokrotnie od Was, do ratowania kochanej Ojczyzny, stawam na czele podług Waszej woli. Lecz nie potrafię skruszyć obelżywego jarzma niewoli, jeżeli od Was najprędszego i najdzielniejszego wsparcia nie znajdę. Wspomagajcież mnie więc całą siłą Waszą, i śpieszcie się pod chorągwie Ojczyzny. W jednym interesie, jednaż gorliwość wszystkich serca zajmować powinna. Poświęćcie dla Kraju część majątku waszego, który dotąd nie był waszym, lecz łupem żołnierza despoty. Przystawiajcie ludzi zdatnych do wojsk naszych: nie odmawiajcie im żywności w mąkach, sucharach, zsypkach zbożowych etc. Dostawiajcie koni, koszul, obuwia, sukna prostego, płótna na namioty; szlachetne te ofiary dla Wolności i Ojczyzny, w wdzięczności całego Narodu godną siebie mieć będą zapłatę. Już to jest ostatni moment, w którym rozpacz w pośród wstydu i hańby, oręż nam do rąk kładzie. W pogardzie śmierci, jedyna jest nadzieja polepszenia losu naszego, i przyszłych pokoleń. Nie dajmy się zatrwożyć postrachem zmówionych na zgubę naszą nieprzyjaciół. Pierwszy krok do zrzucenia niewoli jest, odważyć się być wolnym; pierwszy krok do zwycięstwa, poznać się na własnej sile.

Obywatele! Dało Wam piękny przykład gorliwości Województwo Krakowskie, ofiarowało Ojczyźnie kwiat młodzieży swojej; uchwaliło pobór pieniężny, przyrzekło wszelką pomoc dla obrońców Kraju; przykład ten godny jest naśladowania Waszego; nie wzdrygajcie się kredytować Ojczyźnie, która się Wam z wdzięcznością wypłaci. Wydane palety przez Jenerałów - majorów wojewódzkich, i przez komendy wojskowe, przyjęte będą w podatkach, a w dalszym czasie wypłacone zostaną. Nie chcę was długo zagrzewać, żebym się nie zdawał mniej ufać obywatelstwu Waszemu. Doświadczenie tylu przykrości od żołnierza moskiewskiego, powinno was przekonać, iż lepiej jest chętnie to uczynić dla Ojczyzny, coście pod groźbą dla jej nieprzyjaciół czynić musieli. Kto w takiej okoliczności pokaże się nieczułym na potrzeby Kraju, ten słusznie cechą niesławy naznaczony będzie.

Ale, Obywatele, spodziewam się wszystkiego po gorliwości waszej, będziecie się z serca łączyć do świętego związku, który nie obca intryga, nie chęć panowania, lecz jedynie miłość Wolności utworzyła. Kto nie jest z nami, jest przeciwko nam. Kto się nie wiąże z tymi, którzy przysięgli krew swoją wylać dla Ojczyzny, ten albo co przeciw niej zamyśla, albo jest zbrodnią w Obywatelu.

Przysiągłem Narodowi, iż mocy mi powierzonej, na niczyj prywatny ucisk nie użyję; lecz oświadczam razem, iż ktokolwiek będzie czynił przeciw związkowi naszemu, taki jak zdrajca i nieprzyjaciel Kraju do sądu kryminalnego, ustanowionego w akcie Narodu, oddany będzie. Grzeszyliśmy aż nadto pobłażaniem, i dla tego ginie Polska. Nigdy w niej prawie zbrodnia publiczna nie została ukaraną. Bierzemy teraz inny sposób postępowania: cnotę i obywatelstwo nagradzać, a ścigać zdrajców, i karać zbrodnie.

T. Kościuszko.

Kościuszko na morzu

(Nieznany szczegół historyczny z *Gazety Narodowej Wileńskiej* 4 czerwca 1794, Nr. 10 i 9 lipca 1794 Nr. 20).

Wiadomość o wypadkach na morzu około Połągi, w mies. maju 1794.

Czuwająca nad narodem Opatrzność, nowem a niespodzianem zdarzeniem obywatelskie męstwo zasila, podając nam w ręce układy, obawy o kommunikacye naszych nieprzyjaciół. Jeszcze w przeszłą sobotę wieczorem 31 maja, przybyły tu do Rady ze Żmudzi kuryer doniosł, o przemyślney i szczęśliwey expedycyj naszych w tey części morza Bałtyckiego, *które kraje Rzeczypospolitey oblewa. Już po odebranych w Petersburgu wiadomościach, o odmianach w Polsce zaszłych, dwuch kuryerów z ważnymi depeszami przejęto i tu do Wilna przyprowadzono, niewspominając o tylu inszych, którzy nam w ręce wpadli w miesiącu kwietniu i do połowy maja, jako wiadomo publiczności. Ostatniego kuryera petersburskiego, (którego dla ostrożności już nie lądem, ale* morzem *z Rygi do Pruss wysłano) od wczorayszego dnia w Wilnie mamy.*

Wiadomości o przemykających się Moskalach pod Połągą w dobrach zastaw-

nych I. P. Niesiołowskiego, generała majora woysk Litewskich, w klinie między Kurlandyą i Prussami kuryerach moskiewskich, ściągnęły mieyscowey zwierzchności attencyą. Ordynowani od walecznego Woytkiewicza generał majora pułku Telszowskiego (który iuż tyle dał dowodów odwagi i rozsądku swego) do ścigania pomienionych kuryerów zręczni w owem mieyscu do tego ludzie, a do straży wodney przeznaczeni, w dniu 25 maja postrzegłszy szmagę (tak nazwany statek) morzem płynący, udali się do niego na trzech do téy expedycyi przysposobionych batach. A gdy kapitan pruski z kilku majtkami i J. kurlandzkiemi żołnierzami zdać się nie chciał, i z armat ognia dawać oświadczył, włościanin jeden z attakujących, rzucił się wpław *ku szmadze. Zdziwiony wielce kapitan tą nadzwyczajną determinacyą, zawołał o pardon i płynącemu do siebie człowiekowi rękę na schody podał.* Tak zdobyty statek *do lądu przyprowadzony z ludzi i ekwipażu wypróżniony,* natychmiast do dalszey na morzu obserwacyi użyty został. *Bandera pruska na nim zawieszona, dała ufność zbliżenia się do niego* drugiego statkowi, *który z większą iuż łatwością, dał w ręce zwycięzcom kuryera moskiewskiego na nim przesyłanego. Za odebraną o tym wszystkim wiadomością, posłane są od zwierzchności rozkazy, ażeby statek pierwszy, iako do handlu tylko od kupców kleypedzkich użyty, stosownie do ich rekwizycyi z nietkniętym ekwipażem i ludźmi wraz wypuszczony z pod straży został. Świadectwo zaś uwolnionego kapitana pruskiego, i ofiara iego w przyłączonym poniżey pisanym bilecie wyrażona, nayzłośliwszym potwarzom przeciw ludzkiemu w Polsce z jeńcami obchodzeniu się, przez niewolnicze pióra rzucanym, milczenie nakazać i zawstydzić zdoła. Odważny pływacz żmudzki (którego ieszcze dotąd naswiska niewiemy) odnawia nam pamiątkę, owego nieustraszonego męstwa Polaków na morzu Jutlandzkim za przewodnictwem wielkiego Czarnieckiego, któremu się wszyscy Pomorzanie, Duńczycy, i nasi nieprzyjaciele natenczas Szwedzi wydziwić nie mogli.*

Tłumaczenie biletu uwolnionego kapitana z niemieckiego na polskie.

„Ja Adolph Beniamin von Schroder obywatel pruski i kapitan okrętu, przejęty na morzu pod Połągą, i utrzymywany pod strażą, wiele grzeczności z nakazu I P Benedykta Łabanowskiego, rotmistrza, doświadczywszy, ponieważ całkiem móy honor, urodzeniu memu przyzwoity, nie tylko niebył obrażony, lecz ieszcze ludzkość w naywyższym stopniu oświadczana mi została, więc przez wdzięczność, że naród Polski, umie z aresztowanymi łaskawie obchodzić się, a I P Łabanowski prawo ludzkości wykonać trafił, armatek 7. moich własnych dla Rzeczypospolitey Polskiej daruję, i o takowey ofiary przyjęcie proszę".

„Zwycięstwo albo śmierć".

„...Żołnierzu polski — zagrzmiał nagle tubalny głos od ołtarza. — Za pohańbione kościoły, za swoją wieś, którą ci łupią i palą bić się będziesz!

...Ostatnią krowinę wyprowadzą ci z obory, ostatni kęs chleba, ostatni grosz ukradną. Wszystka Polska we łzach i uciemiężeniu!

To mówię ci, chłopie — spadaj na wrogów gdzie ich dopadniesz i bij psubratów, bij kłonicą, bij orczykiem, bij kamieniem i czem ci się jeno żywnie spodoba, byleś ich tylko prał do ostatniego dechu, do ostatniej pary.

...Zasię pogromione twojemi rękami wrogi, wnukom swoim zapowiadać nie przestaną: „Nie zaczepiajcie chłopskiego narodu. Cichy on i sprawiedliwego serca w pokoju, ale straszliwy i nieprzebłagany w wojnie. Cudzego on nie łakomy, ale swojego z garści nie popuści, a krzywdy nie daruje".

A pamiętaj tam jeden z drugim, że nie grzechem jest wytępiać wroga, a jeno zasługą przed Bogiem i narodem"!...

„Zagrały trąby, zawarczały wszystkie bębny, mosiężne kotły huknęły, zakolebał się gwałtownie las pik i kos, wyrwane z pochew szable zamigotały błyskawicami, huknęła karabinowa salwa i z tysięcy gardzieli buchnął ogromny krzyk:

— Zwycięstwo, albo śmierć!

Wichura krzyków, strzałów i uniesień zatargała chorągwiami, że załopotały, rozwijając amarantowe skrzydła i pokazując na przemian to orła białego, to pszeniczny, złoty snop na skrzyżowaniu kosy i piki i napis z dołu widny: „żywią i bronią"!

— — — — — — — —

...Ludzie wychodzili na robotę... ale na widok masy wojsk, na migotanie kos, porzucali pracę i kto jeno żyw, leciał przyglądać się z bliska żołnierzom.

— To nasi! Jezu miłosierny! Chłopy idą na wojnę! — wrzały zdumione krzyki.

— A kajto ciągniecie, kaj? — pytali sfrasowani starce.

— Za wolność bić się idziema — odkrzykiwali dumnie, junacko, potrząsając bronią i hardo tocząc oczami.

— — — — — — — —

...Chłopi ruszyli z miejsca, jak jeden, przesuwając się między drzewami jakimś przyczajonym, wilczym krokiem... Maszerowali w uroczystem skupieniu, w mrokach dziwnie świeciły im oczy, z warg płynęły gorące, porwane szepty pacierzów; febra trzęsła niejednym.

Nagle las się urwał i jasny dzień uderzył w oczy. Zawahali się na mgnienie. O jakieś sto kilkadziesiąt kroków przed nimi wyrosła... kolumna, płynąca... niby wezbrana, groźna rzeka.

— Kosy do ataku! Za wolność i ojczyznę! Naprzód chłopy — zagrzmiał głos naczelnika.

Wraz załomotały bębny i biły przyśpieszonym tempem do ataku...

Porwali się jak burza, z okropną wrzawą i krzykiem.

— Biegiem! Biegiem! Biegiem! — krzyczeli coraz szybciej oficerowie.

Nagły huk wstrząsnął powietrzem, kartacze chlusnęły warem ognia i żelaza.

— Jezu! — ktoś jęknął, ktoś się zwalił, a reszta pedziła, groźna, rozjuszona, niepowstrzymana.

Jeszcze nie dobiegli, gdy kartacze znowu żygnęły im prawie w same twarze.

— Bij w nich! Jezusie, Maryjo! Bij, kto w Boga wierzy! Za mną! — ryknął Bartosz, rzucając się z kosą na asekurację dział i tnąc straszliwie. Chłopy spięły się za nim, jakby tabun dzikich koni, kosy wzniosły się wstęgą błyskawic i spadły piorunami. Zawyła dzika zawierucha. Prali jakoby cepami, jeno nie ziarno tryskało z pod tej młocki, ale krew z ran okropnych, odwalone łby, obcięte ręce, krwawe strzępy ciał. Jako potężne warchlaki, szły rozsrożone kumy, tnąc straszliwymi kłami na śmierć.

...Jak przez wyłom w pękniętej tamie, chlusnęła spiętrzona fala chłopów na połamane szeregi... Rozpoczęła się rzeź, urągająca wszelkim wyobrażeniom...

Siekli, jakby gęsty i zwarty łan, do czysta. Siekli bez miłosierdzia... Kto żebrał pardonu — marł, nie wymówiwszy jeszcze tego słowa. Kto się próbował bronić — padał jak zrąbane drzewo.

Jakaś rota, przywiedziona do rozpaczy, próbowała ich powstrzymać bagnetami. Hej, nie przeszło i zdrowaś, a już leżała pokotem, poćwiartowana jak woły... Wicher tak nie rwie, nie łamie drzew, nie roznosi liści, jak prędko rozsypali się, krwawą sieczką pociętych ciał. Walili zwartą ławą, zmiatając kosami, co się tylko dało.

Naczelnik... czuwał nieubłaganie, prowadząc atak za atakiem.

— Za wolność! Za całość! Za niepodległość! Naprzód! — grzmiał, nie pozwalając im na oprzytomnienie.

...Chłopi przemogli, rozgromili, wycięli co do jednego i zdobywszy armaty, rwali się naprzód z niemałym wrzaskiem zwycięstwa. Świst kos, straszliwa siła ciosów, od których rozłupywali się ludzie jak szczapy, przejmowały... taką grozą i strachem, że widząc niechybną śmierć, uciekali, rzucając broń, i co im przeszkadzało.

...Chłopi wyrębywali ten człowieczy bór z nieopisaną furją, a bór z jękiem żałosnym walił się pokotem, wył miłosierdzia i litości. Nie przepuszczali nikomu. I krzykając junacko, niekiedy z dzikim śmiechem rąbali, jakby na wyprzódki, któren prędzej, któren mocniej, któren więcej...

...Bitwa skończyła się równo ze dniem.

Wł. Reymont: „Insurekcja", str. 93 i nast.

ZAKAZ OBCHODU W RACŁAWICACH.

KIELCE — PAT — Urząd wojewódzki w Kielcach zakazał w dn. 18 kwietnia r. b. w Racławicach w pow. miechowskim urządzenia publicznego zgromadzenia i zjazdu Stronnictwa Ludowego z okolicznych powiatów.

Na decyzję urzędu wojewódzkiego wpłynęła okoliczność, że zjazd ten, mający być jakoby wyłącznie obchodem rocznicy bitwy pod Racławicami, w rzeczywistości miał na celu wbrew zgłoszonemu programowi zorganizowanie manifestacji politycznej i podniecenie umysłów zebranych, co w konsekwencji zagrozić by mogło bezpieczeństwu i porządkowi publicznemu. O odmownej swej decyzji urząd wojewódzki powiadomił zarząd wojewódzki Stronnictwa Ludowego w Kielcach.

PRZYPOMNIENIA

PŁOMIEŃ IMIENIA KOŚCIUSZKI.

(K) W chwili, gdy imię Kościuszki i nazwa Racławic asocjują się z białemi plamami w naszych dziennikach, otwieramy świeżo wydany pośmiertny tom pism Askenazego p. t. *„Szkice i portrety"* *) i oczy padają na jeden z najprzedniejszych klejnotów piśmiennictwa polskiego, ogłoszony w 1917 roku, po raz pierwszy odczyt o Kościuszce. I na te zdania końcowe:

„Kościuszko świadczy... nietylko o prawie Polski. Świadczy o czemś więcej jeszcze, o jej charakterze narodowym. A więc o tem, jak ona tego wróconego sobie prawa zażyje... Kościuszko, *cor cordium,* dał za swym narodem taką najczystszą rękojmię moralną. *„On był* — rzekł o nim szlachetny Francuz, Michelet, co z cudzoziemców pojął go najgłębiej — *samą Polską. On był, najbardziej ze wszystkich, nawskroś dobry. Dobroć nadzwy-*

*) Warszawa 1937. Biblioteka Polska.

czajna, jaka w nim była, miała skutki niezmiernie dla przyszłości ojczyzny dodatnie. Zyskała sobie ona serce wszystkich narodów, przeświadczonych, iż bezwzględna dobroć ludzka wcieliła się w Polaku". Tak dziś, w setną rocznicę zgonu, żywym wstawiennikiem za Polskę jawi się Kościuszko...

Niewielu zna historja ludzi, którzy władając losami swego narodu, takie sobą o nim wydali świadectwo. Odezwało się w lutni Byrona słowami o mężu, „którego imię brzmi gromem w uchu tyranów — Kościuszko!"

Don Juan pędzi kibitkę przez Polskę, „kraj soli i kajdan". Zima jest. „Lecz kto zmarzł w drodze, może być ogrzany w Polsce; tam imię Kościuszki dziś tryska płomieniem przez śnieg, jak z Hekli ogniska".

Ileż serc polskich zmrożonych dziś w wędrówce. Ileż miljonów serc polskiego chłopa. Na Bóg miły, niechże się zagrzeją płomieniem imienia Kościuszki, znowu jaśniejącym nad Polską.

PREZYDENT WASHINGTON.

Z tejże przepięknej książki, z wygłoszonego w 1932 r. na ratuszu warszawskim odczytu o Washingtonie:

...„Obrany pierwszym prezydentem, przeprowadził konstytucję przez ogniową próbę życia. Rzekomy, jak go wówczas oskarżano, monarchista, *monokrata*, objawił się ostoją Republiki. Kartę konstytucyjną miał za świętość; za jej epokę — niezawisły wymiar sprawiedliwości. Był za władzą ludu, dla ludu, nie przez sam lud, za dwuizbowem przedstawicielstwem i egzekutywą silną i legalną. Był w rządzeniu wielkim gentlemanem. Wprowadził do swego rządu przeciwników swoich, głównego z nich, wirgińskiego swojaka, Jeffersona, zrobił ministrem spraw zagranicznych. Szanował cudze przekonania; szanował siebie. Szanował nadewszystko swój naród, który go zrodził i wyniósł. Swoją, zdwojoną ponownym wyborem prezydenturę uczynił wzorem dla wszystkich następnych. „Była w nim — zaświadczy jego wielki następca i antagonista, Jefferson — rzetelność najczystsza, sprawiedliwość nieugięta. Żadne pobudki interesu, ani pokrewieństwa, przyjaźni ani nienawiści nie były zdolne spaczyć jego postanowień. W całym wojskowym i cywilnym swoim zawodzie zawsze był najskrupulatniej posłuszny prawom krajowym".

Szczęśliwy kraj, u którego kolebki, jako niepodległego państwa, taki stał wychowawca.

A WÓDZ POLSKI...

Z najpiękniejszego ze wszystkich szkicu o księciu Józefie (1913), który kazał czytać sobie oślepły Tadeusz Wojciechowski i słuchając płakał...

„Do nowych, postępowych instytucyj Księstwa Warszawskiego przystosował się z posłuszeństwem wewnętrznem, karnością nie żołnierską tylko, lecz obywatelską; a zarazem z dużą oględnością i umiarkowaniem. Trzymał się zdala od ostrych zatargów i przeciwieństw, zrodzonych na tle nowożytnych, dobroczynnych naogół, lecz przyswajanych zrazu nie bez tarcia urządzeń i stosunków. Nie wojował ani z kodeksem, ani z ewangelją; i kiedyś będą mogli społem Stanisław Potocki i ksiądz Woronicz oddać mu jednakie hołdy pozgonne. Rzecz dla niego znamienna: on właściwie do żadnego nie należał stronnictwa. Nie był w gruncie ani ślepym regalistą zamłodu, ani teraz ślepym napoleonistą; nigdy nie był ani wstecznikiem, ani radykałem. Nie zaliczał się do żadnego z obozów partyjnych, rozdzierających schyłkową Rzplitą, emigrację i Księstwo. Należał do obozu Polski"... "...I tę również dał naukę, że niewolno Polakowi, choćby za krzywdę najoczywistszą, ze swoim prawować się narodem, zgoryczonym przez nieszczęścia bez miary, nauczonym nieufności przez przymus okrutnych doświadczeń i ciągłej walki o istność. Znał swój naród; wiedział, że krzywdę mimowolną on wynagrodzi z lichwą sercem całem, że ma smak cnoty niemylny i na niej w końcu poznać się musi; że ma uniesienie sprawiedliwości i wdzięczności..."

NIEDZISIEJSI LUDZIE.

Niedzisiejsi to ludzie, ci z portretów Askenazego. A przynajmniej nie na modę dzisiejszą. Nie na czasy kultu bezprawia i gwałtu, gloryfikacji, pałki i bata, noża i kastetu. I cała książka już taka, rażąca przez kontrasty, niedyskretnie przeciwstawiająca dzisiejszej pustce bezideowej, wydobytej z popieliska przeszłości płonący potok wielkości myśli, i wszelkich umiłowań. Przeciw obłędom teraźniejszości głos tu podnoszą wieki.

Nowe szaty cesarza

Pod tym zdaje się tytułem napisał Andersen dawno już temu bajkę. Żył więc podobno w pewnym kraju cesarz, którego największą troską panowania była reprezentacja i wspaniałe szaty. Mało korzystał z innych uprawnień monarchy. Ale ubierał się ciągle w coraz to nowe i wspanialsze stroje.

Konstytucja cesarstwa dawała temu monarsze olbrzymie wprost uprawnienia. Niejeden sąsiad zazdrościł potężnych jego prerogatyw. Cesarz jednakże niewiele się wtrącał do rządów. Otaczali go ludzie mądrzy z własnego przekonania, wierzący we własne siły a wyrośli z rycerskiej legendy. Byli to ludzie miecza. Obsiedli dwór cesarski, rząd, armję, zajmując kolejno nadzór nad wszystkiemi dziedzinami życia obywateli. Omnipotencja ich budziła podziw zagranicą i stała się słynną w świecie. Miało się czasem wrażenie, że tylko wielki kataklizm dziejowy, wywracający odwieczne warstwice układu społecznego, mógł naraz wydobyć z wnętrza narodu aż tyle znakomitości. Bo tylu było tych zarodowych genjuszów, że można było wiele państw nimi obdzielić.

Fundusze państwa okazywały się wciąż skromne w stosunku do potrzeb opłacenia tak zdolnych i tak wciąż zasłużonych wielkości. Ubogi skarb zadziwiał wszakże wielkością swoich zamierzeń. Biednieli coprawda obywatele państwa, ścigani nadmiarem podatków, ale rosło pozorne bogactwo skarbu przez kupno i zakładanie coraz to nowych przedsiębiorstw. Rosła jednocześnie liczba urzędników. Każdy z nich wierzył w swoje posłannictwo. Mundury funkcjonarjuszy cesarstwa widziało się na każdym kroku. Aż wreszcie większość inteligencji wtłoczono w strój urzędowy. Człowiek cywilny stawał się coraz to większą rzadkością. Pozostał on strojem chłopów czy najbiedniejszych wyrobników, którzy za tę swobodę mieli zaszczytny przywilej pracowania na niezliczonych przedstawicieli władz.

Żadne państwo świata nie miało tyle różnych ustaw i tyle przepisów. W miarę jak rosła liczba urzędników, rosła potrzeba ich uzasadnienia oraz opłacania. Nie było w tem państwie prawnika, któryby mógł się zorjentować w labiryncie rozporządzeń. Nie było też śród urzędników ludzi takiej pamięci, by mogli znać wszystkie przepisy. Człowiek stawał się niewolnikiem, niepewnym każdego kroku. Zawsze jak cień za szybą majaczyły obawy, że może znów wyszedł jakiś przepis, który wczorajsze swobody ogranicza i karze. Każdy nowy przepis rodzi za sobą konsekwentnie specjalistów od jego interpretacji. Topniała więc w tych warunkach moralność obywateli, zmuszonych wciąż się wyłgiwać dla ocalenia resztek posiadania, topniała moralność władz, które doszły do takiej przemocy liczbowej, że pozwalały sobie na bezkarność. Nadużycia tak rosły, że nikogo już karać było niepodobna. Gdy chciano zamknąć kogo dla przykładu, to tylu innych wskazywał, że trzeba było czempredzej sprawę tuszować, by za kratkami nie stanęli wszyscy.

Człowiek w mundurze był postrachem reszty. Gdy taki zjawił się na wsi, ludność chowała dobytek i uciekała, gdzie się dało.

Cesarstwo doszło w ten sposób do ogromnej potęgi. Ludzie bali się władzy! Im większa przepaść wzrastała pomiędzy rządem a narodem, tem bardziej potężniała reklama. Ze wszystkich środków propagandy stworzono jedną olbrzymią fabrykę autorytetów. Jedyna to była fabryka w cesarstwie, która szła jeszcze pełną parą i na wszystkie zmiany. Najważniejszem zaś jej zadaniem było odwracać uwagę narodu od błędów władzy. Dodawano więc blasku świetnym strojom cesarskim, bawiono naród sensacjami. Coraz to inny minister delegacje przyjmował, to znów wstęgi przecinał na wystawach. Im zaś był głupszy i mniej się do swej godności nadawał, tem lepiej umiał fotografom pozować, tem chętniej dawał się nosić na rękach płatnym entuzjastom.

Aż przyszedł moment, kiedy otumanienie narodu reklamą doszło do zenitu. Na podatnym gruncie zjawili się bowiem w stolicy dwaj sprytni oszuści, uznając czas za pomyślny dla działania. Wyzyskali więc zmyślnie słabość cesarza do strojów i słabość rządów do reklamy, podając się za znakomitych tkaczy.

Szaty przez nich utkane miały mieć właściwości cudowne. Zarówno kolory materji, jak przedziwne desenie nie mogły być naśladowane. Nie mógł ich dojrzeć żaden głupiec, widoczne one były bowiem tylko dla oczu mędrców i ludzi godnych zajmowanego stanowiska. Coraz więcej o tkaczach szerzyła się więc legenda. Radjo i prasa poświęcały oszustom coraz to więcej czasu.

Wreszcie echo tych głosów doszło do uszu cesarskich i wielki monarcha... połknął haczyk. Przed tron monarszy zawołani tkacze rozwinęli tak piękny program tkania, tak świetną wizję szat cesarskich umieli przedstawić, że cesarz zamówił u nich co najwspanialszy strój i kazał z kas państwa wypłacić wielką zaliczkę w złocie. Z magazynów cesarskich wydano szpule jedwabi, złoto do wyszywania. Tkacze zabrali się do pracy i wymagali bezustannie coraz to nowych materjałów i coraz nowych zaliczek, chowając wszystko dla siebie. Najęli lokal wspaniały z szybami wystawowemi, krosna poustawiali za oknami, a usiadłszy przy krosnach tkali wciąż, dniami i wieczorami. Wszystkie rodzaje propagandy pouczały obywateli państwa o postępach prac tkackich. Każdy kolor użyty, każdy deseń materji były publicznie ogłaszane. Kazano cieszyć się wszystkim, że szaty wielkiego monarchy staną się wreszcie godne jego dostojeństwa. Tłumy ludzi stawały przed oknami. Cisnęli się wielcy i mali, gdyż każdy chciał widzieć zbliska wielkie dzieło. I widać było ruchy rąk, widzieli wszyscy, jak ogromnemi nożycami przykrawano materję, jak ją mierzono. Nikt się jednakże nie przyznał, że nie widział samego materjału. Nikt bowiem nie chciał się okazać głupcem i niegodnym zajmowanego stanowiska. Każdy więc widział, choć każdy to opowiadał inaczej.

Wreszcie i cesarz nie mógł już wytrzymać.

Kronika zagraniczna

ZMIERZCH TOTALIZMU.

Wybory niedzielne w Belgji znaczeniem swem przekraczają znacznie granice tego kraju. I to nie tylko dlatego, że wynik ich nie jest zgoła obojętny dla polityki zagranicznej, a świetne zwycięstwo van Zeelanda jest zarazem zwycięstwem linji umiarkowania w tej polityce, zgodnej z tradycją belgijską, gdy zwycięstwo Degrelle'a byłoby zwycięstwem wpływów niemieckich. Ważniejszem jest znaczenie tych wyborów jako symptomu. Bo tak się złożyło, że od przedwiośnia państwa totalne nie mogą już notować większych sukcesów, że przeciwnie muszą godzić się na większe lub mniejsze niepowodzenia. Ale nie było jasnego sprawdzianu, jak odbiło się to na falowaniu sympatyj szerokich mas. Nie brakło wprawdzie oznak, że prądy faszystowskie tracą popularność i moda na dyktatury przemija. Widzieliśmy to i we Francji na losach ruchu pułk. de la Rocque'a, i w Finlandji w rezultacie wyborów prezydenckich, i w Jugosławji i w Bułgarji, ba! nawet w Austrji i na Węgrzech. Ale najjaśniej zwrot w opinji publicznej zaznaczył się dopiero w wyborach belgijskich. Bo zważmy. Próbę sił spowodował sam Degrelle, widocznie przekonany, że będzie mógł się pochwalić wielkim sukcesem. Zapowiadał publicznie, że za miesiąc będzie premjerem. Liczył na zupełne zwycięstwo. Prognostyki wyborcze objektywnych obserwatorów nie szły wprawdzie tak daleko, ale ogólnie oczekiwano, że zwycięstwo van Zeelanda będzie raczej skromne, a Degrelle co najmniej podwoi lub nawet potroi ilość głosów, uzyskanych przez rexistów przy poprzednich wyborach. Uważano nawet za błąd polityczny, że premjer van Zeeland stanął osobiście do rozgrywki, obawiając się konsekwencyj przegranej lub zwycięstwa nie dość przekonywującego. Degrelle rozwinął szaloną agitację, prowadzoną z olbrzymim nakładem środków pieniężnych, dość niejasnego pochodzenia. Nie można zaprzeczyć, że popełnił w tej agitacji poważne błędy taktyczne. Błędem było ogłoszenie układu z separatystami flamandzkimi, błędem było sprowokowanie wystąpienia kardynała-prymasa Belgji, arcybiskupa van Roeya. Wszak po encyklice papieskiej potępienie ruchu rexistowskiego przez Kościół nie mogło już być niespodzianką. Ale te błędy nie tłómaczą rozmiarów jego klęski. Fakt, że Degrelle nie doszedł nawet do cyfry głosów uzyskanych przy poprzednich wyborach, uzyskując zaledwie 19% głosujących, gdy na van Zeelanda padło przeszło 75%, daje się wytłómaczyć tylko ogólnem załamaniem się popularności prądów totalistycznych w Europie, zmierzchem mody na wodzów i dyktatorów. I w tem tkwi właśnie ogromne znaczenie belgijskich wyborów. Vivant sequentes!

KŁOPOTY.

Mówi się znów o spotkaniu Mussoliniego z Hitlerem, tym razem w Nadrenji. Pierwsze spotkanie, w Wenecji, fatalnie się nie powiodło. Ale od tego czasu upłynęło sporo wody. Dziś Włochy potrzebują koniecznie pomocy niemieckiej w Hiszpanji, gdzie upojony tanim sukcesem w Abisynji żołnierz włoski natrafiwszy na równego technicznie przeciwnika znów nie wykazał oczekiwanego przez faszyzm ducha bojowego. Prestiż włoski dotkliwie na tem cierpiał. Niemcy mieliby ratować honor pokrewnego reżimu. Nie zdradzają na to ochoty. Mają dość własnych, i to wcale niemałych, kłopotów. Coraz usilniej zerkają ku Anglji, coraz bardziej pragną przełamać odosobnienie polityczne i faktyczną blokadę, w którą lekkomyślnie zabrnęli. Włochom przyszłyby może z pomocą, ale za wysoką cenę. Np. za Austrję. Ale to chyba dla Włoch cena za wysoka, a przytem zawsze to skóra na niedźwiedziu. Trzebaby więc pogadać w cztery oczy o kłopotach własnych i wspólnych. Ale czy nie okaże się znów, że jest to przysłowiowa rozmowa gęsi z prosięciem?

Wydelegował więc najmądrzejszego ministra, by poszedł i ujrzał sam. Mądry minister niejeden raz przetarł oczy, gdyż nic nie mógł zobaczyć. I już, już miał wyjawić to swoje spostrzeżenie, gdy sobie nagle przypomniał, że przecież nie jest głupcem, że się nadaje do swego urzędu, no... i wszystko odrazu zobaczył. Gdy zaś powrócił do cesarza, opowiedział mu nie mniej, niż rozsiewana legenda.

Zbliżała się już jednak połowa miesiąca marca, a z nią i uroczysta procesja. Cesarz miał na niej wystąpić w nowych wspaniałych szatach, tkanych pospiesznie przez tych dwu oszustów, i miał wygłosić orędzie do narodu. Poszedł więc sam, aby obejrzeć szaty. Cały dwór zjawił się nagle z cesarzem w lokalu „zapracowanych" tkaczy, których pośpiech budził szacunek widzów. Szmer podziwu szedł od olśnionych wspaniałością dostojników dworskich. Każdy widział, każdy podziwiał kolory i desenie, i sam krój wreszcie, tylko dostojny monarcha wytrzeszczał oczy podejrzliwie, bo nic nie mógł rozeznać. I byłby może kazał zamknąć oszustów, gdyby był sobie nie przypomniał, jak okropnem by było, gdyby on, cesarz, okazał się nietylko głupim, lecz i niegodnym swego stanowiska.

Brał więc szaty do ręki, przymierzał na sobie i udawał, że widzi, tak jak wszyscy inni. Długo rozmyślał, gdy wrócił do swego pałacu. Nie miał najmniejszej kwestji co do swojego rozumu, nie wątpił również, że się nadaje na cesarza.

A przecież jednak nic nie widział!

Gdy więc przyszedł nareszcie oczekiwany zdawna dzień, dostojny ten monarcha odbył całą procesję na golasa. Z dojmującego zimna dorozumiewał się wprawdzie, że jego wspaniała szata nie istnieje. Ale godność cesarza wymagała konsekwencji aż do końca. Wszak długotrwała reklama głosiła, że słynne szaty cesarza będą dla głupców jedynie niewidoczne. W trudnym zaiste dylemacie, czy okryć się przed zimnem czy też okazać się głupim i dostrzec swoją goliznę, cesarz stanął na wysokości zadania i szedł dalej. Byłby też niezawodnie zostawił opinję mędrca i strojnisia, gdyby nie mała dziecina. Oto nie zdając sobie sprawy z państwowej wagi procesji, krzyknęła nagle głośno: alež on nie ma nic na sobie!

I nie pomogło uciszanie. Z ust do ust, coraz głośniej podawano za dzieckiem „nowinę", której nikt przedtem nie śmiał zauważyć, że cesarz idzie na golasa!

Kruche szaty utkane z przesadnej reklamy rozleciały się w pył. Nikt już nie widział dostojeństwa monarchy. Nikt już nie słuchał orędzia.

Dla wszystkich oczu widocznym był tylko golec, wystrychnięty na dudka przez sprytnych oszustów...

W taki to sposób trzeźwość małego dziecka otworzyła oczy narodowi i pogrążyła w śmieszności głupca na tronie.

Opowiadając z pamięci, być może poplątałem niektóre szczegóły z innych bajek, albo nie bajek. Dzieje się tyle nieprawdopodobieństw, że już trudno rozróżnić. Ale napewno Andersen mówił o władcy w rękach oszustów, o kradzieży pieniędzy państwowych, o propagandzie, o procesji na golasa i o głosie dziecka z ludu, które na końcu powiedziało głośno prawdę.

S. O. S.

Coś ty, chłopie, za śpioch

Coś ty, chłopie, za śpioch?
Toć już wiosna wśród pól.
sąsiad chycił za pług,
do roboty się wziął!

Wstańże, ocknij się, zbudź,
popatrz się, coś za chwat:
czem-eś był, jaki-ś jest,
coś ta miał i co masz.

Pośród pól — żebyż snop,
po zapolu — choć skrob,
a u ścian — zielska łan;
goło wkoło — i już!

Jak ten chlew — twoja kleć;
złe rozmiotło w niej śmieć.
Szkapy poszły za dług;
piechtą, chłopie, se leć!

Pusta skrzynia gdzieś w kąt
wywaliła ci się,
i chałupa przez pół,
jak babina, się gnie.

Wspomnij, chłopie, choć to:
jak to życie ci szło
pośród pól, pośród ról,
jak waliło przez próg

od tych chat — dalej w świat,
złotą falą na szlak,
i od wsi — w miejskie drzwi,
kędy grosz kapał ci.

Jak kłaniali ci się,
jak prosili wciąż cię,
jak sadzali za stół,
przepijali we szkle.

A dziś z biedą we spół
pod okienkiem człek siadł
i na ławie se legł —
ani śpi, ani zjadł.

A wśród pól szumi kłos:
cni mu się, chciałby kos.
Wiater żenie go wspak,
wydziobuje go ptak...

Coś ty, chłopie, za śpioch?
Toć już lato — gdzie? het!
toć już jesień od wrót,
zerka okiem przez płot!

Za nią zima we ślad
wdziała kożuch i rwie:
w kolej dróg prószy mróz,
chrzęści śniegiem z pod płóz.

Saneczkami swój plon
swat czy brat wiezie w świat,
kabzę zbija, jak pan,
piwko ciągnie se, rad.

Aleksy Kolcow
z rosyjskiego przełożył
Antoni Bogusławski.

Książki nadesłane

Jerzy Przywieczerski. Hiszpanja w ogniu. Reportaż. Warszawa 1936.

„W „Nacho Enea" jest gabinet, w którym siedzi ktoś, który więcej wie i może od pana Angoso.

Obok tych panów pracują w przedstawicielstwie narodowem panienki i panie, z hiszpańskiej society, i kilku młodych ludzi.

W domku w bocznych pokojach nagromadzone są środki opatrunkowe i menażki, przeznaczone dla powstańców.

Czy władze francuskie wiedzą o istnieniu willi?

Naturalnie!

A więc przedstawicielstwo, nieuznanego Rządu Narodowego, który lada dzień będzie uznany przez wszystkie państwa.

Jeśli mowa o rządzie, to warto zobaczyć, jaki on jest, i jakimi są ludzie, wchodzący w jego skład".

ANDRZEJ PRZEŁĘCKI

Słowackiego dramat polityczny

Już bardzo dawno, bodaj że od przedwojennych czasów, nie oglądaliśmy na stołecznych scenach, jednego z najwspanialszych dzieł Juljusza Słowackiego — Lilli Wenedy.

Czasy niewoli i związane z niemi represje natury politycznej nie pozwalały na wystawienie tej kapitalnej tragedji w formie, uwypuklającej jej istotną, przewodnią myśl. Należyte skomentowanie Lilli Wenedy na scenie drogą odpowiedniej inscenizacji stworzyłoby z tego widowiska manifestację zbyt rewolucyjną, aby ją cenzura puściła. Stąd może pochodzi przyzwyczajenie reżyserów do traktowania Lilli Wenedy, jako utworu, którego treść stanowi prahistoryczna klechda.

Tak jednak nie jest. Lilla Weneda jest dramatem par excellence politycznym, tragedją idei, a nie postaci, jak możnaby na pierwszy rzut oka sądzić. W genjalnem, niemal proroczem widzeniu, ujął Słowacki na przestrzeni pięciu aktów ówczesną polską rzeczywistość. Może nietylko ówczesną.

Oto jest rycerz z dwojgiem serc, z mieczem jednym, (Lelum i Polelum. przyp. Red.)... wódz mający dwie dusze i dwa ciała; nieszczęście narodu.

Oto wróżka, która zabrania harfiarzom rozpaczy (Roza Weneda przyp. Red.). ...Eumenida eschylowska, krzycząca: „Zwycięstwo! Sto serc ludzkich za zwycięstwo!”...

Oto jest brat Rolanda, a praszczur Sobieskiego, człowiek silnej ręki, i molierowskiej w domostwie słabości (Lech. Przyp. Red.)... Kontusz mu włożyć i żupan, niechaj panuje — bez jutra.

...oto mniejsze mrówki ludzkości, pełne kłamstwa, wybiegów, tchórzostwa w osobie Ślaza”.

Kimże więc są te postacie? Jak je Słowacki rozumiał? Czyż ten Lech nie jest znakomitem uosobieniem władzy, zdobytej podstępem, czy gwałtem? Czyż ten „rycerz z dwojgiem serc, z mieczem jedynym” nie jest wspaniałym symbolem rozdarcia sił w Narodzie? A Rosa Weneda czy nie kapitalnie symbolizuje ducha opozycji a nawet buntu, wołająca „zwycięstwo! sto serc ludzkich za zwycięstwo!”

A Ślaz?

Czemże jest wreszcie chór Harfiarzy, jak nie wyrazem opinji publicznej, wrogo do najeźdźcy nastawionej, a jednak z takich, czy innych względów drżącej przed wyzwaniem jawnem?

W tymże liście do Krasińskiego powiada dalej Słowacki:

...Zaprawdę powiadam ci: Jam tych mar nie wołał — przyszły same... i krzyczały zjawione z krajów przeszłości: m ó w o n a s p r o s t o i z k r z y k i e m”...

Przejdźmy teraz do samej tragedji. Szczególnie sugestywne i wieloznaczne są słowa Rozy Wenedy:

...Nie czas żałować róż gdy płoną lasy...

*

...Na jad węża, co w tej czarze
Karmi płomienie czerwone
Zaklinam się wam, o starzy,
Że kości z pobojowiska
Wstaną i będą walczyć w takt pieśniom harfiarzy...

*

...Wtem ktoś cicho wykrzyknął „giniemy”
I tysięcy cześć — nietkniętych żelazem —
Sześć tysięcy bez ducha upadło,
Jakby je kto struł. — Nadeszłam z nożem —
Otworzyłam tułów trupowy
I znalazłam, że w nim serce zbladło
I tak trzęsło się, jak liść olchowy.
Więc plunęłam temu sercu w usta. —
I rozcięłam drugą pierś dla ptaków,
Lecz znalazłam w niej kłębek robaków
Zamiast serca. — I pierś trzecią rozdarłam,
I spojrzałam w nią — lecz była pusta
I nie było w niej serca! — ...

A później, kiedy sposobi Lelum i Polelum do walki:

I wódz się zjawił.
Patrzcie! Łańcuch co ręce pokrwawił,
Z dwóch uczynił jednego człowieka...
...Włożę wam zbroję.
Ty będziesz bronił swego brata tarczą,
Ty go zakryjesz miecza błyskawicą. —
Biada, kto swego nie dopełni! Biada!
Jesteście jednym rycerzem, mścicielem...

Charakterystykę Wenedów, „z którymi sprawa nie jest wcale tak łatwą”, daje nam Lech — wódz strony zwycięskiej:

...Tam są olbrzymie Scyty, co krew piją
W człowieczych czaszkach, wyznawce Odyna:
Tam są Letoni, co na hełmach noszą
Rogi żywemu wyrwane turowi;
Tam jest Mazonów lekkie pokolenie,
Co głowy, jako szczygły, ubierają
W czerwoną krasę i pomiędzy hełmy
Migocące się niosą pióra pawie...

Jest więc w tych Wenedach cały polski lud. Wśród tych zapasów o wolność ludu uwija się gad oportunizmu, iście po szekspirowsku potraktowana postać Ślaza:

...Chciałbym coś znaleźć niepotrzebniejszego
I z tego zrobić votum Panu Bogu
Aby mi trochę sprzyjał na początek. —
Naprzykład — z r ó b m y v o t u m
z p r z y w i ą z a n i a
D o m e g o p a n a...

I dalej, kiedy dobił Salmona i w jego zbroję się przybrał:

A teraz pójdę w tej zbroi do Lecha;
I będę, jakbym przywędrował z Lechem,
Służyć u Lecha i zwać się szlachcicem.

Ale przychodzi moment, kiedy Ślazowi już nazbyt zaczyna ciężyć salmonowa zbroja, zrzuca ją tedy i zgłasza akces do Wenedów:

W jakim kolorze? — W kolorze Wenedów. —
...opowiem jakie kłamstwo
Takie żałośne kłamstwo, że uwierzą
I jeść mi dadzą. —

Dla Ślaza istnieją tylko dwie sprawy: brzuch i karjera, mówi bowiem dalej:

Jeśli potrzeba wodza — będę wodzem
Jeśli człowieka tylko trzeba — jestem;
Jeśli tygrysa — adsum, jeśli księdza —
Do usług; Jeśli Ganimeda — zgoda...

Oto jest Ślaz w całej swojej ohydnej i brudnej nagości, dla karjery i brzucha wędrujący od Obozu do Obozu z całym, na jaki go stać, cynizmem.

Wspaniałą charakterystykę dwugłowego wodza znajdujemy w monologu Lelum, kiedy żąda od brata, aby straszliwem ciśnięciem topora uwolnił ojca z więzów:

...Przykuty do mnie za twą lewą rękę
Tyś niewolnikiem mojej ręki prawej —
Ty cały jesteś moją ręką prawą.
Ty będziesz rzucał, a ja będę cierpiał.
Mamyż na wieki i my i nasz ojciec
Już pokonani być dolą i nigdy,
Nigdy tym krwawym ludziom nie pokazać,
Co wreszcie może rozpacz niewolnika?

I potem, kiedy Polelum, stojąc na płonącym stosie, z martwem ciałem brata na rękach idzie na śmierć, a Lech wbiega i krzyczy: „Stójcie, Wenedzi, przynoszę wam życie”, zaś Św. Gwalbert wślad za nim: „Stójcie poganie! Przynoszę wam wiarę!”, jakże piękny, jakże potężny jest jego ustny testament:

„... — Boże! Patrzaj z nieba
Na tych dwóch ludzi przed stosem Weneda
Konającego — patrzaj na tych ludzi
I pomyśl, jakim ty dajesz stworzeniom
Chwilę triumfu i urągowiska!
I przyszli, kiedy mój lud cały skonał!
I przyszli, kiedy brat mój już nie żyje!
I przyszli, kiedy niebo oświecone
Łunami stosów, gdzie się palą trupy!
I tu mi dają życie! O, stworzenia!
Czuję nad wami w sercu wielką litość
I wielką wzgardę!...

P r z e m i a n y w n a s t r o j a c h o p i n j i p u b l i c z n e j, reprezentowanej w Lilli Wenedzie przez chór dwunastu harfiarzy, ujął Słowacki w trzech niesłychanie mocnych fragmentach.

„...Na ziemi i w niebie
Lud nasz przeklęty — o! biada nam! biada!
......Wszystko stracone!”

Później zaś, gdy Roza Weneda natchnęła ich buntem:

...O cud! — Harfy nasze grają
Rycerski śpiew.
...Chodźmy, tą pieśnią, jak skrą,
Ożywić ludy po siołach.

Nieco dalej, w momencie przejściowym, że się tak wyrażę: ewolucji myśli politycznej, powiada Chór:

Czekamy wszyscy, drżąc, na piorun z chmur —
A kiedy milczy niebo — śpiewa chór,
A kiedy śpiewa chór — drży serce wroga!

I wreszcie w momencie kulminacyjnym nasilenia dramatu, kiedy opinja publiczna jest już całkowicie przesiąknięta duchem opozycji:

O święta ziemio polska! Arko ludu!
Jak zajrzeć tylko myślą, krew się lała.
W przyszłości słychać dźwięk tej harfy cudu,
Co wężom dała łzy i serce dała.
Słuchajcież wy, gdy ognie zaczną buchać!

Jeżeli harfy jęk przyleci zdala —
Będziecież wy, jak węże stać i słuchać?
Będziecież wy, jak morska czekać fala,
Aż ścichnie pieśń i krew oziębnie znowu
I znów się staną z was pełznące węże?
Aż rzucą was do mogilnego rowu,
Gdzie z zimnych, jak wy, serc się hańba lęże?
Już czas wam wstać!
Już czas wam wstać i bić i truć oręże!

*

* *

Od wielu, wielu lat nie widzieliśmy na stołecznych scenach Lilli Wenedy. Możeby było i celowe i bardzo pouczające, żeby zamiast przeróżnych, osławionych „Kubusiów” czy „Jutro niedziela”, czy wreszcie wznowień Shawowskiego Pygmaljona, wznowić nareszcie to arcydzieło myśli polskiej, tę wizję historyczną i zawsze proroczą.

LEON TOMNICZAK

Z frontu teatralnego

REORGANIZACJA.

Nadchodzi wiosna i z kalendarzową punktualnością zjawiają się w dziennikach pierwsze wiadomości o projektach „reorganizacji” teatrów T. K. K. T. na sezon przyszły. Oryginalna instytucja, to T. K. K. T.! „Reorganizuje” się co roku i nie może dojść do jakiej takiej stabilizacji organizacyjnej. Najpierw nie potrafiło dać sobie rady z dwoma teatrami, zatem objęło ich odrazu pięć, pod jednem kierownictwem. Potem zmieniło osobę kierownika, potem wróciło do podziału na poszczególne dyrekcje, teraz znowu ma zmieniać dyrektorów. Był Kaden Bandrowski z Szyfmanem, potem Szyfman z Kadenem Bandrowskim jako „łącznikiem”, teraz ma znów być coś innego.

Jak mówią, zmiana dotyczyć ma przedewszystkiem kierownictwa Teatru Narodowego. Solskiemu zarzucają, że nie stanął na wysokości zadania. To nikt z zarządu T. K. K. T. nie wiedział rok temu, że dla Solskiego kierowanie teatrem było dotąd zazwyczaj okazją do tem częstszych osobistych popisów aktorskich? W konkretnym wypadku słuszność jest nawet merytorycznie po stronie Solskiego, gdyż tylko sztuki z jego występem robią kasę, a inne, — nie. Ale nie bójmy się o to, żeby dymisję otrzymał ktokolwiek z ekipy dramaturgów, którzy te drugie sztuki wybierają i zalecają do grania.

Wogóle żadna „reorganizacja” nie dotknie nigdy tych rzeczywistych winowajców, którzy najpierw zasugerowali premjerowi Jędrzejewiczowi pomysł zabawienia się w teatry państwowe, a potem sami tworzyli i tworzą w nich bałagan, wiecznie potrzebujący „reorganizacji”. Jakże tu chcieć, by naczelnik wydziału sztuki w Min. W. R. i O. P. dał dymisję generalnemu sekretarzowi T. K. K. T., albo by twórca PAL'u odsunął generalnego sekretarza Akademji literatury od herostratowych wyczynów w teatrach? A tylko takie harakiri byłoby reorganizacją, jakiej naprawdę potrzeba...

*

Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej, czyli krótko: PIST, rozpoczął serję popisów, w których adepci kursu reżyserskiego przedstawiają pierwsze rezultaty otrzymanych nauk. Już w zeszłym roku stwierdzono, że popisy te nie odpowiadają zupełnie swemu celowi. Zamiast by młodzi ludzie pokazywali, ile technicznej umiejętności i pomysłowości włożyć potrafią w odtworzenie najbardziej znanych sztuk, pozwala się im wybierać ekskluzywne delikatesy literackie, które wprawdzie zaspakajają snobizm pewnej części publiczności, ale o skali uzdolnień adeptów mogą zupełnie fałszywie poinformować. Warsztat teatralny wypełnia w ten sposób obowiązki, które miały należeć do eksperymentalnego Teatru Nowego, ale nie wypełnia obowiązków szkoły. Bo to jest pewne, że adepci reżyserscy, — o ile z nich coś wogóle będzie w przyszłości, — w obecnym stanie rzeczy, nie będą mieli nigdy sposobności wystawiania sztuk tego pokroju w rzeczywistych teatrach.

Z programu ogłoszonych popisów widać pozatem, że słuchacze kursu wychowani są w takiej samej pogardzie własnej twórczości dramatycznej, jaką programowo uprawia T. K. K. T. Na siedem pokazów, tylko jeden kandydat wybrał sobie dwie sztuczki polskie, dwa antykwaryczne klejnociki dla smakoszów.

*

Losem polskiego autora scenicznego w naszych oficjalnych teatrach zajął się obszernie Wacław Grubiński w odcinku jednego z dzienników. Zestawił on repertuary pięciu głównych teatrów warszawskich, wykazując, że na 26 sztuk granych w tym sezonie zaledwie 12 było polskich, — w tem tylko cztery nowości. (Piąta nowość w Teatrze Nowym, „Nagroda literacka” Jasnorzewskiej, grana była już po ukazaniu się artykułu. — Przyp. Red.). Teatr „Narodowy” nie zagrał ani jednej nowości oryginalnej, teatr zaś mieniący się w tytule „Polskim”, zgodnie ze swą tradycją grał same sztuki obce, zadowalając się tylko jednem, zresztą bardzo lichem, wznowieniem „Sułkowskiego”. Jeżeli do tego dodamy, że prywatne teatry Jaracza, Adwentowicza i Malickiej nie wystawiły wogóle ani jednej sztuki polskiej, otrzymujemy obraz absurdalnej sytuacji, nad którą zastanowić się powinny przynajmniej czynniki pilnujące przestrzegania przepisów dewizowych. Bo od naszych t. zw. „czynników kulturalnych” niczego spodziewać się nie można, skoro one same wytworzyły ten zawstydzający stan rzeczy.

Tymczasem teatry w Krakowie, Lwowie, Poznaniu, Wilnie, a nawet w Toruniu i Bydgoszczy grają raz po razie nowe sztuki znanych lub nie znanych dotąd polskich autorów i nie narzekają na kasowe rezultaty swojej śmiałości. Jeżeli nawet nie wszystkie te sztuki nadawały się na sceny stołeczne, to przecie choćby jakąś drobną część dałoby się wyłuskać z tak wielkiego wyboru. Czy wśród mnóstw dyrektorów niema nikogo, coby o tem przez chwilę pomyślał?

To jest najbardziej piekący postulat „reorganizacyjny”!

ALEXIS DE TOCQUEVILLE

O demokracji w Ameryce[1])

W jaki sposób Amerykanie łączą umiłowanie dobrobytu z umiłowaniem wolności i troską o sprawy publiczne.

Z chwilą kiedy ustrój demokratyczny zastąpionym zostanie przez absolutną monarchję, to cała aktywność ludności skierowana poprzednio zarówno ku publicznym jak i osobistym sprawom, nagle koncentruje się wyłącznie na tych ostatnich. Wywołuje to okres wielkiej gospodarczej pomyślności, trwającej tylko krótki przeciąg czasu, poczem tempo jej postępu zostaje zwolnione, a wzrost produkcji doznaje zahamowania.

Nie wiem czy w historji moglibyśmy wskazać chociażby na jedno państwo o charakterze handlowym i przemysłowym, począwszy od Tyru poprzez Florencję aż do Anglji, którego obywatele nie korzystaliby z pełni wolności politycznej. Musi zatem istnieć ścisły i przyczynowy związek między temi dwoma przejawami ludzkiej działalności — wolnością i przemysłem.

Prawo to stosuje się do wszystkich narodów, jednakże najjaskrawiej przejawia się w ustrojach demokratycznych.

Poprzednio udowodniłem, w jakim stopniu ludzie w czasach równości odczuwają potrzebę stowarzyszania się dla zdobywania prawie że wszystkich przez siebie pożądanych dóbr, a jednocześnie dlaczego wielka wolność polityczna udoskonala się i rozpowszechnia umiejętność stowarzyszania się w tych społeczeństwach.

W tych okresach wolność polityczna szczególnie sprzyja wytwarzaniu bogactw. Można się łatwo przekonać, że w pełnem do tego przeciwieństwie despotyzm jest temu zjawisku specjalnie szkodliwy.

Ani okrucieństwo, ani bezwzględność nie są przyrodzonemi właściwościami despotyzmu w czasach demokratycznych, władza jest wtedy tylko dokuczliwą i małostkową. Tego rodzaju despotyzm, chociaż nie poniewiera godnością ludzką, ale jest djametralnie przeciwny duchowi handlu i nastawieniu przemysłowemu. A zatem ludzie w czasach demokratycznych muszą być politycznie wolnymi, ażeby łatwiejszym sposobem mogli zdobywać dobrobyt, którego ciągle pożądają. Zdarza się jednakże czasami, że to umiłowanie odczuwane właśnie dla tych pragnień wyrasta nadmiernie i wydaje obywateli w ręce pierwszego lepszego człowieka, dążącego do pochwycenia władzy w swe ręce. Pragnienie dobrobytu zwraca się wtedy przeciwko niemu samemu i oddala obywateli niewidocznie dla nich samych od celu ich dążeń. Przychodzą chwile, kiedy ludzie są porwani, jakgdyby wyprowadzeni z równowagi duchowej, widokiem nowych dóbr, łatwych do zdobycia. Pochłonięci wyłącznie troską o zdobycie fortuny, nie są w stanie zauważyć ścisłego związku, łączącego pomyślność każdej poszczególnej jednostki z ogólnym dobrobytem. Nie zachodzi wtedy potrzeba wydzierania siłą praw takim obywatelom — wyzbywają się ich chętnie sami. Korzystanie ze swoich praw politycznych wydaje się im przykrą przeciwnością, odciągającą ich od pracy zawodowej. Nie mają czasu na wybieranie swoich przedstawicieli, na wspólne narady nad ogólnemi sprawami; nie mogą marnować tak drogiego dla nich czasu na tak nieopżyteczne prace. Zdaniem ich są to zabawki dobre dla próżniaków, a nie licujące z godnością i powagą ludzi zajętych poważnemi sprawami życiowemi. Ludzie ci są przekonani, że kierują się doktryną o własnych korzyściach, w rzeczywistości urabiają sobie oni tylko o niej prostackie pojęcie, i, dążąc do lepszego troszczenia się o to, co nazywają własnemi interesami, zaniedbują zasadę pozostawania panem samego siebie, stanowiącą podstawę ich dobrobytu.

Jeżeli w takiej krytycznej chwili ambitny

[1]) Podajemy rodział XIV z części II książki, która zwróciła powszechną uwagę zagranicą.

człowiek zdobywa władzę, to przychodzi do przekonania, że otworem stoi mu droga do nieposzanowania wszelkich praw ludności.

Jeżeli pracujący obywatele nie chcą się troszczyć o publiczne sprawy, a jednocześnie egzystuje już warstwa społeczna, mogąca przyjąc na swoje barki te troski dla zapełnienia wolnych chwil, to wtedy władza leży na ulicy.

Jeżeli ten władca dbać będzie przez pewien czas o rozwój życia gospodarczego, to obywatele z lekkiem sercem uwolnią go od wszelkich ograniczeń jego władzy. Specjalnie, jeśli jednocześnie zagwarantuje publiczny spokój.

Ludzie troszczący się wyłącznie o dobrobyt zwykle wcześniej przekonywują się o tem, że wolnościowe ruchy szkodzą rozwojowi dobrobytu, aniżeli dostrzegają drogę, jaką wolność do niego się przyczynia; z chwilą kiedy najmniejsze odgłosy ludowych ruchów przenikać zaczynają do ich świadomości i zakłócają ich spokój pośród małostkowych przyjemności ich prywatnego życia, to przebudzają się pełni niepokoju; długi czas obawa anarchji utrzymuje ich w niepewności i w ciągłej gotowości wyrzekania się wolności przy pierwszych nieporządkach.

Z łatwością się godzę z twierdzeniem, że publiczny spokój jest wielkiem dobrodziejstwem, jednakże nie mogę zapomnieć, że poprzez spokój publiczny wszystkie narody zdążały ku tyranji. Nie wypływa bynajmniej z tego zupełnie, żeby ludy miały pogardzać spokojem publicznym, ale nie trzeba, żeby on sam im wystarczał. Naród, żądający od swojego rządu tylko utrzymania porządku publicznego, jest już z głębi swojego serca narodem niewolniczym, niewolnikiem swojego dobrobytu i człowiek, który go zakuje w kajdany, w każdej chwili zjawić się może.

Nie należy się w mniejszym stopniu obawiać despotyzmu koterji, aniżeli despotyzmu pojedyńczego człowieka.

Z chwilą, kiedy główne masy obywateli chcą się zajmować wyłącznie swojemi prywatnemi sprawami, wtedy najmniejsza nawet partja może mieć nadzieję ujęcia w swoje ręce kierownictwa spraw publicznych.

Nie należy wtedy do rzadkości widok na wielkiej scenie życia, podobny do tego, który widzimy na deskach naszych teatrów, gdzie kilku ludzi reprezentuje tłum. Te jednostki przemawiają w imieniu nieobecnych i nieistniejących mas i one jedynie działają pośród powszechnego bezruchu i rozporządzają wszystkiem wedle swojego widzi mi się, zmieniają prawa i naginają obyczaje zgodnie ze swoją wolą. Widok tej małej liczby słabych i niegodnych rąk, w które może być złożony los wielkiego narodu, jest godnym zdumienia.

Aż do tej chwili Amerykanie potrafili uniknąć tych wszystkich podwodnych raf, na które wskazałem i dlatego jednak zasługują na rzeczywisty nasz podziw.

Niema kraju na świecie, w którym spotkaćby można było mniej próżniaków, aniżeli w Ameryce i gdzieby wszyscy pracujący byli więcej pochłonięci myślą o zdobyciu fortuny. Ale jeżeli umiłowanie dobrobytu w Ameryce jest gwałtowne, to przynajmniej nie jest ono zupełnie ślepem, a rozum dość silny, żeby je złagodzić i niem kierować.

Amerykanin pochłonięty jest swojemi osobistemi interesami tak, jakgdyby był sam na świecie, a za chwilę poświęca się sprawom publicznym, jakgdyby zupełnie wyzbył się swojego egoizmu.

Przegląd Prasy Krajowej

RACŁAWICE.

Projekt obchodu racławickiego nie doszedł do skutku. Załatwiono się z nim po linji najmniejszego oporu: zakazem urzędu wojewódzkiego. Snać po długich wahaniach zdecydowano się przerzucić odpowiedzialność za decyzję na wojewodę kieleckiego, bo jeszcze w zeszłym tygodniu w jednem z pism wiadomość o możliwości takiego rozporządzenia została skonfiskowana. W ubiegłą niedzielę wiadomość (tym razem bez groźby konfiskaty) podała Polska Ajencja Telegraficzna, uzupełniając ją odpowiedniem umotywowaniem:

> „Zjazd... w rzeczywistości miał na celu wbrew zgłoszonemu programowi zorganizowanie manifestacji politycznej i podniecenie umysłów zebranych, co w konsekwencji zagrozićby mogło bezpieczeństwu i porządkowi publicznemu".

Jedynym właściwym skrótem powyższego uzasadnienia jest słowo: strach. Ten „Leitmotiv" daje się wyczuwać w komentarzach prasy prorządowej. W prasie zaś opozycyjnej motyw przybiera formę dłuższą znanego przysłowia: „strach ma wielkie oczy". Zamiast szeregu cytatów przytoczymy ustępy z bardzo miarodajnego artykułu jednego z najwytrawniejszych naszych publicystów, w *„Kurjerze Warszawskim"*. Zastrzegając się przeciw pomawianiu o obronę interesów Stronnictwa Ludowego albo o wtajemniczenie w „uboczne" plany zjazdu, pisze p. B. K.:

> „Mamy prawo, a nawet obowiązek rozważenia cząstki interesu publicznego, tkwiącego zarówno w programie racławickim, jak w dotyczącym go rozporządzeniu kieleckiego urzędu wojewódzkiego, tego interesu publicznego, który nie jest ani wyłączną domeną rządu, ani terenem specjalnej opieki kół opozycyjnych, który powinien jednoczyć wszystkich patrjotów w takiej samej mierze.
>
> Otóż nie ma wątpliwości, że myśl urządzenia zjazdu włościańskiego w imię przypomnienia ludowi i uczczenia przezeń tak wielkiego zdarzenia historycznego, jakim była bitwa Racławicka, doskonale odpowiadała interesowi publicznemu i zupełnie harmonizowała z tymi hasłami, które są właśnie dzisiaj wysuwane i akcentowane przez reprezentantów najwyższych władz państwowych w Polsce. Jedność narodowa, udział warstw ludowych w obronie Ojczyzny, chłop dobrowolnym żołnierzem Rzplitej, płomienny patrjotyzm sukman, Kościuszko, wieszczący tę doniosłą w dziejach Polski przemianę — niemasz w historji polskiej żadnego równego racławickiemu symbolu, zwłaszcza w oczach ludu. Dla ludu polskiego Kościuszko jest najpopularniejszym patrjotą i wodzem polskim, a przykład racławicki jest nieoszacowaną lekcją, wskazówką i pobudką historyczną.
>
> Władze administracyjne, pragnące opierać się na hasłach jedności narodowej i odwołujące się do nich, mogą tylko zyskać na tym, że stronnictwo polityczne, cieszące się niemałym wpływem na wsi, urządza zebranie nie w duchu antagonizmów socjalnych, nie na temat klasowych roszczeń materjalnych, lecz w chęci przypomnienia ludowi wielkiego testamentu z przed stu kilkudziesięciu lat, a więc ożywienia w ludzie uczuć solidarności narodowej i własnej cząstki odpowiedzialności historycznej. W świetle takich wspomnień i płynących z nich wskazówek muszą blednąć przesadne wyobrażenia o niedolach bieżących i musi rosnąć tęsknota do twórczej pracy na rzecz wielkości i dobrobytu całości narodowej. Nic, tylko korzyści dla życia społecznego mogą wyniknąć z tak mądrego wiązania nauk przeszłości z zadaniami teraźniejszości".

Tak wyglądałaby teorja. W praktyce obawiano się „manifestacji", „podniecenia umysłów". P. B. K. rozwiewa te obawy:

> „Zgromadzenia publiczne, zwoływane przez wytrawnych polityków, nie stanowią bezładnej zbieraniny ludzi, nie krępowanych żadną dyscypliną. Są tam przecież przywódcy, są ludzie, cieszący się szerszym posłuchem. P. wojewoda kielecki miał tu wytkniętą już może niejednym w Polsce precedensem drogę postępowania: porozumieć się z inicjatorami i organizatorami miejscowego ruchu ludowego i przekonać ich, jeśli oni takiego przekonywania potrzebowali, o konieczności ścisłego wykonania zgłoszonego programu zjazdu. Perswazja z jednej strony, taktowne kroki prewencyjne z drugiej — oto gwarancja spokojnego przebiegu uroczystości ludowej, krzewiącej i wzmacniającej na wsi uczucia patrjotyczne. Tymczasem obrano, niestety, drogę może najłatwiejszą biurokratycznie, lecz zgoła nienajszczęśliwszą z punktu widzenia celowości politycznej".

„AKCESÓW" CIĄG DALSZY.

Niemałą zapewne ulgę niejednemu z urzędników państwowych przyniosło wyjaśnienie p. ministra sprawiedliwości Grabowskiego, udzielone jednemu z sędziów w prowincjonalnych na pytanie co do możności należenia do Obozu Zjednoczenia Narodowego. Przytacza je *„Słowo Pomorskie"*:

> „Wprawdzie „Obóz Zjednoczenia Narodowego" nie posiadał do chwili obecnej statutu organizacyjnego, nie mniej z istoty swej jest organizacją polityczną, co wynika zresztą z określenia w tytule deklaracji, jako „ideowo-politycznej", przeto należenie sędziów i prokuratorów do wspomnianej organizacji podpada pod zakaz art. 121 n. s. p.".
>
> Jest to ze stanowiska prawnego decyzja jedynie słuszna i logiczna".

Tę lukę wypełnia inny akces. Oto Związek Felczerów, pozazdrościwszy snać laurów „Zw. bagażowych m. st. Warszawy", „Zw. pracowników rzeźni miejskiej" w Płocku i innym — mówiąc stylem „prasy brukowej": „poważnym organizacjom społecznym o potężnym i wpływowym zasięgu" — zgłosił akces do obozu pułk. Koca.

O wiekopomnym tym fakcie donosi nam *„Przegląd Felczerski"*:

> „Akces zgłoszony przez Centralny Związek Felczerów do Obozu Zjednoczenia Narodowego nie jest czymś przypadkowym.
>
> Nie.
>
> *Deklaracja ideowo - polityczna pułk. Adama Koca zawiera tyle momentów, zgodnych z naszym postępowaniem, naszymi myślami i czynami..."*

„Obrona Ludu", omawiając owo epokowe zdarzenie, pisze:

> „Trudno się zorjentować, kto do kogo zgłosił akces: czy Ozon do Związku Felczerów, czy felczerzy do Ozonu?
>
> Jak bowiem zrozumieć, że deklaracja pułk. Koca jest zgodna „z naszym postępowaniem, naszymi myślami", a zwłaszcza, czy jest coś w deklaracji „o czynach" pp. felczerów?
>
> Do tej pory wiedzieliśmy, że czyny panów felczerów — to: stawianie baniek, przystawienie pijawek, czasem również puszczanie krwi (!), robienie lewatywy, (masaże, wycinanie kurzajek, odcisków) i t. p.
>
> O ile te czyny są zgodne z Deklaracją pułkownika Koca, żadną miarą nie możemy zrozumieć! No, ale niczemu już nie można się dziwić!"

ANTYSEMITYZM.

Niema chyba ani jednej gazety w Warszawie, a niewiele w Polsce, któreby nie przedrukowały z *„Wiadomości Literackich"* wspaniałego artykułu Al. Świętochowskiego p. t. „Antysemityzm". Oczywiście, za wyjątkiem gazet, reprezentujących kierunek „porozumienia narodowego", bo one nie są od tego, aby drukować poglądy wielkiego pisarza w wielkiej sprawie. Dla ścisłości dodajemy, że prasa żydowska doceniła rozgłos takiego wystąpienia i z rasowym temperamentem nie przestaje szarpać znakomitego nie-akademika.

Według A. Świętochowskiego rozwiązanie „męczącej zagadki" jest następujące:

„Jeżeli odpowiedź na to pytanie nie ma być hitlerowska, podyktowana przez jakikolwiek fanatyzm, rasowy lub religijny, wogóle zły i głupi, lecz przez rozum i uczciwość, muszą być z niej wyłączeni wszyscy Semici, którzy są kulturalnymi ludźmi i prawdziwymi Polakami, jakich znaliśmy i znamy wielu. Ci nie należą do sprawy, która obejmuje tylko prawdziwych Żydów. Otóż dla tych, chociaż ich przodkowie przybyli przed setkami lat, Polska nie jest ojczyzną ani jako ziemia, ani jako społeczeństwo, jest tylko miejscem dłuższego lub krótszego pobytu i zarobku w odwiecznej i nieskończonej wędrówce z zachowaniem całkowitej odrębności i niezgody ze społeczeństwami nawiedzonemi.

Ojczyzną Żydów jest właściwie cała kula ziemska, a ich narodem wszyscy w niej rozmieszczeni i pomimo największych oddaleń zjednoczeni współplemieńcy i współwyznawcy. Wobec tego, chociaż najliczniej zwarli się w Polsce, ich los powinien być przedmiotem troski całego obszaru ich zamieszkania, wszystkich zainteresowanych narodów i rządów, a zwłaszcza wszystkich Izraelitów w świecie, którzy przecież wywierają potężny wpływ na rozwiązanie najważniejszych zagadnień politycznych. *Sprawa żydowska nie jest wyłącznie polska, lecz międzynarodowa,* i na tej rozszerzonej podstawie powinna być uregulowana. Jeżeli to nie nastąpi, będzie ona w miejscach większego zgęszczenia Żydów ciągle dymiącym i często wybuchającym wulkanem nienawiści, którego nie zaleją i nie zgaszą najobfitsze potoki oskarżającej lub broniącej frazeologji. Tylko wielka naiwność może się łudzić tą nadzieją".

„DOBRA INFORMACJA".

W przetwarzającym się ostatnio *„Wieczorze Warszawskim"* p. Cor, onże „Polityk" z *Gońca Warszawskiego"*, skorzystał z okazji wyborów niedzielnych w Belgji, aby wyśpiewać hymn pochwalny na cześć prohitlerowskiego reksizmu, sławiąc go jako „nowoczesny ruch narodowy, budujący swój program na prawdziwie katolickich zasadach". Stało się to w tym samym dniu, kiedy arcybiskup Malines, kardynał prymas Belgji van Roey ogłosił list do wszystkich katolików Belgji, potępiający reksizm jako niebezpieczeństwo dla kraju i dla Kościoła. I w tym samym dniu, kiedy zwyciężyło wspaniale potępione przez p. Cora „partyjnictwo" (jakżeż znamy ten język!) „starej Belgji", dając van Zeelandowi przeszło 75% głosów i redukując głosy Degrelle'a do 19%! Niema to jak dobra informacja i dar przewidywania!

Z Prasy Zagranicznej

POLACY, STRZEŻCIE SIĘ!

Możliwość porozumienia niemiecko sowieckiego nasuwa prasie francuskiej szereg uwag pod adresem francuskiej polityki zagranicznej, w których raz po raz jest mowa o Polsce. W ostatnich dniach zajmuje się szeroko tym tematem *„Le Figaro"*, nie szczędząc gorzkich pytań:

„W rzeczywistości zawsze istniała partja prorosyjska w Berlinie, tak samo, jak zawsze istniała partja proniemiecka w Moskwie. Są to tradycje, które opierają się burzom chwili. Zresztą nigdy właściwie stosunki między czynnikami kierowniczemi sowieckiemi i hitlerowskiemi nie były przerwane, nawet wtedy, kiedy Führer ciskał najgwałtowniejsze zarzuty przeciw S. S. R. R. Niemcy stale jeździli w tajnych misjach do Rosji (moglibyśmy przytoczyć nazwiska). Sztaby generalne były w ciągłym kontakcie. Zdziwi to jedynie tych, którzy na politykę sowiecką (podobnie jak i na niemiecką) patrzą z punktu widzenia francuskiego, to znaczy prostego i logicznego.

Zbliżenie niemiecko - rosyjskie, powstrzymując lub zawieszając tendencje, które dzieliły dwie ideologje i dwa mocarstwa — a które mogły być tak niebezpieczne dla Europy — byłoby może samo w sobie pożądane *(ale wtedy przyjaciele Polacy, strzeżcie się!).* Gdyby to zbliżenie miało się stać faktem, możnaby stwierdzić wtedy, że wszelkie zbliżenia, których się Francja spodziewała i nad któremi pracowała, doszły do skutku, ale... poza nią!

Francja marzyła o zbliżeniu Niemiec i Polski. Dokonało się. Czy z nami?

Francja marzyła o zbliżeniu między Włochami i Jugosławją. Dokonało się. Czy z nami?

A jeżeli w dniach najbliższych zbliżą się Sowiety do Niemiec, czy to też będzie z nami?

Pełne zaniepokojenia jest również *„L'Echo de Paris";* porównywa ze stanem dzisiejszej Rosji okresy Wielkiej Rewolucji francuskiej i stwierdza, że:

„rewolucja, nawet niepewna stosunków wewnątrz kraju, na zewnątrz zachowuje swą siłę ekspansji i swoje mistyczne promieniowanie.

Istnieje zresztą kwestja nieporównanie więcej niepokojąca. Niema wątpliwości, że generałowie rosyjscy, obojętni dla rozważań mistycznych, dzielących faszyzm od komunizmu, są w ogromnej większości zwolennikami sojuszu z Niemcami, gdzie spotykają się u generałów Reichswehry z analogicznem nastawieniem. Sojusz zaś Rosji i Niemiec wydałby Europę na ich łaskę i niełaskę, a losami jej pokierowanoby bez nas i przeciw nam. Znaleźlibyśmy się cofnięci do XVIII wieku, do czasów rozbioru Polski, albo do tych dni dramatycznych, w których gasła gwiazda napoleońska".

„La République" dorzuca:

„Czynniki wojskowe rosyjskie i niemieckie zacieśniają swe kontakty. Na tem tle postawić można trzy hipotezy:

Rewolucja trockistowska w Rosji i rewolucja powszechna? Pierwsza hipoteza mało prawdopodobna.

Sojusz wojskowy francusko - sowiecki, a w ślad za nim powolna bolszewizacja Francji, która nas doprowadzi do wojny?

Rzecz jest możliwa, a ideę sojuszu będą podtrzymywać z rozpaczy najlepsi patrjoci. Inni — a my z nimi — będą ją zwalczać.

Rozbicie porozumień europejskich i zmartwychwstanie Rapalla, w wyniku którego, konsekwentnie, komuniści niemieccy powrócą do patrjotyzmu a komuniści francuscy do defetyzmu?

Hipoteza doskonale się nadająca do zrealizowania, i niema ani jednego Francuza, któryby nie widział jej niebezpieczeństw".

Za JUGOSŁAWJĄ — RUMUNJA?

Donosi *„L'Action Française* z Rzymu:

„Jeżeli jest jeszcze zawcześnie, aby mówić o układach, w ścisłem tego słowa znaczeniu, w kierunku zawarcia umowy włosko - rumuńskiej, to nie ulega wątpliwości, że w kołach politycznych włoskich uważa się ją jako logiczny wynik umowy włosko - jugosłowiańskiej i niemniej jest pewnem, że Włochy będą robić w Bukareszcie awanse w tym kierunku.

Ostatni incydent włosko - rumuński, jaki się wydarzył z okazji udziału ministra włoskiego w pogrzebie dwóch członków „Gwardji Żelaznej", zabitych w Hiszpanji, odbił się w kraju słabem echem: opinja włoska nie zdawała sobie sprawy, że załagodzenie incydentu było równoznaczne z podkreśleniem tego, co może oba kraje zbliżyć, a nie tego, co je rozdziela.

W Rzymie rozpowszechnia się też pogłoskę, że w obręb przyjaźni włoskiej wejdzie również Ententa Bałkańska.

Wydaje się, że Włochy byłyby gotowe uznać nienaruszalność terytorjum rumuńskiego, tak, jak to uczyniły w umowie jugosłowiańskiej".

POLONICA.

„Lästige Ausländer".

Organizacja Niemców mieszkających zagranicą (Abt. für das Deutschtum im Ausland) wydała sprawozdanie ze swych czynności za rok ubiegły. Wynika z niego, że wszyscy Niemcy, zamieszkali zagranicą, a zwłaszcza na t. zw. „Ziemiach zabranych", t. j. oderwanych od Rzeszy przez Traktat Wersalski, zostali wezwani do nadsyłania „dokładnych sprawozdań o położeniu na swoich terenach".

UROCZYSTOŚCI LESZCZYŃSKIEGO.

Donosi *„La Matin":*

„Dla uczczenia dwóchsetletniej rocznicy objęcia księstw Lotaryngji i Baru przez króla Stanisława Leszczyńskiego Związek sportowy Lunewilski organizuje w dniach 29 i 30 maja wielkie uroczystości francusko - polskie".

Podany następnie przez wspomniane pismo program uroczystości jest rzeczywiście pomyślany na wielką skalę.

Azet.

Ten trzeci...

Był brat i brata brat —
i brata brat z powrotem.
I ładnych kilka lat
Kraj cały mówił o tem.
Zaś młodzież akurat
dziś mniemać ma powody —
że jest i trzeci brat —
nie z rodu, lecz... z metody.

GRYF.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie, prócz niedziel i świąt, od 10 do 14-ej. REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od 11 do 14-ej. Konto w P. K. O. Nr 22822. Prenumerata wraz z przesyłką wynosi: w kraju zł. 1,50; zagranicą zł. — 2,— miesięcznie. Ogłoszenia: 1 stronica — zł. 200.—; ½ st. — zł. 125,—; ¼ str. — zł. 75,—. Rękopisów niezastrzeżonych nie zwraca się.

REDAKTOR: RYSZARD ŚWIĘTOCHOWSKI. **WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „NIWA", SP. Z OGR. ODP.**

Zakłady Graficzne DRUKPRASA, Nowy-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.